Kurjer literacko naukowy

ROK IV. | WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK | NR. 11

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

Współczesna belletrystyka angielska

(Autoreferat)

Podjąwszy się na życzenie Redakcji sprawozdania z własnych odczytów, które wygłosiłem we Lwowie (staraniem Towarzystwa Powszechnych Wykładów Uniwersyteckich) i prawdopodobnie będę powtarzał w innych miastach, muszę zacząć od genezy tego zarysu kierunków i charakterystyki najważniejszych postaci we współczesnej powieści i noweli angielskiej.

Historyk literatury dość rzadko zajmuje się w swych pracach twórczością bieżącą, chociaż z natury rzeczy musi ją obserwować. Lecz nasze czasy, żyjące aktualnością, zmieniły dużo pod tym względem. Tak się złożyło, że od lat kilku pisuję do czterech pism artykuły i fejletony, poświęcone tylko w drobnej części starszej, a przeważnie najnowszej literaturze angielskiej. Tym sposobem stopniowo wszedłem w bardzo bliski kontakt z panującym i najważniejszym jej obecnie rodzajem i ujrzałem się zmuszonym zapoznawać się systematycznie z najlepszemi utworami w miarę, jak się ukazują. Przy niezmiernej obfitości powieści i nowel angielskich (co najmniej tysiąc książek na rok!) znajomość ta musi mieć pewne luki, z tem wszystkiem doszła już do punktu, w którym uznałem, że można z niej zrobić użytek w jakiejś całości i moje sumienie naukowe pozostanie przytem spokojne.

Postanowiłem tedy zużytkować i zbiór wycinków z gazet, obejmujący to, co napisałem, a zaśmiecający wnętrze mego biurka (niestety, daleko tu do kompletu) i równie obfite notatki, nigdzie dotychczas niezużytkowane. Jakkolwiek zapoznałem się z szeregiem książek angielskich i niemieckich głównie, poświęconych przedmiotowi, starałem się jednak obszerniej traktować tylko autorów, mojem zdaniem, najważniejszych, którzy są mi dobrze znani z lektury. Szczególną uwagę zwróciłem na takich, którzy albo są typowymi przedstawicielami swego czasu, albo wnoszą do literatury pewne pierwiastki nowe (najczęściej łączy się jedno z drugiem). Musiałem wskutek tego nieraz mówić o utworach mocno drastycznych. Niestety należy to do charakterystyki czasów.

Właściwy przedmiot zaczyna się po wojnie, a tak całkiem naprawdę, około r. 1926, który będzie zapewne datą przełomową, rozpoczynającą nowy okres w dziejach literatury angielskiej. Dodałem jednak zwięzły przegląd wieku poprzedniego i nakreśliłem równie zwięzły obraz prądów społecznych i stosunków obyczajowych, będących podłożem literatury.

OKRES PRZEDWOJENNY

Pod koniec panowania Wiktorji, wytworzyło się u jednych upojenie powodzeniami i idea imperialistyczna, u drugich poczucie niepewności jutra i obawa, że wspaniały gmach brytyjski zawali się niezadługo. Typowym przedstawicielem zadowolenia z życia i imperjalizmu jest w powieści *Kipling*, pesymizm reprezentuje *Hardy*. Po nich przychodzi, jak po tezie i antytezie, *Conrad*, mający posępny pogląd na życie, lecz uznający w niem męskie cnoty, energję, męstwo, poświęcenie, za wartość absolutną. Twórczość *Wellsa* wyrasta jeszcze z pnia późnowiktorjańskiego. Jest on liberałem i fanatykiem wiedzy przyrodniczej, a choć surowo krytykuje istniejący porządek rzeczy, optymistą. Lecz już *Galsworthy* w swym okresie przedwojennym nie ma żadnego ideału, lituje się tylko nad cierpieniami ludzkiemi lub wyszydza upadającą „wyższą klasę średnią". Później dojdzie do przekonania, że Anglja źle wyszła na jej upadku i będzie sławił stary angielski ideał dżentelmena. Tradycję sztuki dla sztuki kontynuuje w tym okresie i aż prawie do chwili obecnej *Moore*, silnie przejęty francuskim realizmem. *Doyle* tworzy i popularyzuje romans kryminalny, należący do literatury, lecz stanie się ojcem legjonu pisarzy, produkujących zarobkowo tandetę. Rozwija się nowela, głównie pod wpływem Maupassant'a *(Somerset Maugham)*, wysoko stanie w niej *Katarzyna Mansfield*, wprowadzająca pewne pierwiastki rosyjskie. Duże znaczenie ma grupa katolicka pisarzy od *Benson'a* do *Chesterton'a* i *Belloc'a*, którzy z jednej strony tworzą pewne nowe formy powieściowe, z drugiej szerzą świadomość, że dwa pozornie walczące z sobą prądy epoki, wielki kapitał i socjalizm, oba międzynarodowe, spotykają się przez to, że taksamo pozbawiają jednostkę własności i obracają ją w niewolnika. Powieść historyczna jest w tym okresie w ogólnem lekceważeniu i jej wybitny przedstawiciel *Hewlett* nie zdobywa sławy, na jakąby zasłużył.

CHARAKTERYSTYKA DOBY POWOJENNEJ

Wykładnikiem nastrojów stał się w w. XX stosunek do wiktorjanizmu. Wiktorjanizm to wiara w dogmaty (a przynajmniej oficjalna wiara), pewność siebie, zaufanie do hierarchicznej struktury społeczeństwa, dbałość o pozory, ideał szanowności. Lecz czas przynosi sceptycyzm, dążenia wywrotowe, pęd do bezmyślnego użycia, rozluźnienie obyczajów i gest lekceważenia opinji publicznej. Stąd epoka wiktorjańska staje się przedmiotem wzgardy i szyderstwa.

Z wojny Anglja wychodzi z korzyściami terytorjalnemi, ale traci naczelne stanowisko w świecie, musi rujnować się na bezrobotnych, ma kłopoty w imperjum, którego więź rozluźnia się znacznie. Żyje w niepewności jutra. Walki społeczne zaostrzają się i grozi przewrót — zwłaszcza, że kontrast między bogactwem a nędzą stał się jeszcze jaskrawszy. Pacyfizm przybiera formy chorobliwe. Ludzie żyją w oczekiwaniu katastrofy. Rządy zmieniają się wciąż, ponieważ żadna partja nie może sobie dać rady z trudnościami. Wszystko to odzwierciadla się w literaturze, która oddycha niepewnością i trwogą, a czasem sympatyzuje z dążnościami przewrotowemi. Jest również pełna obsesji erotycznej.

Rok 1926 przynosi zamach na istniejący porządek w formie strajku powszechnego — i pokazuje się, że wyższe klasy umieją się obronić, a niższe klasy w gruncie rzeczy nie chcą przewrotu. Odtąd rysuje się wyraźnie coraz większe zaufanie do własnych sił, Anglja leczy się z ubóstwienia wszystkiego, co nowe, wraca zwolna cześć dla tradycji, stosunki zaczynają się poprawiać. W związku z tem wiktorjanizm przestaje być pośmiewiskiem, widać nawrót do niektórych jego ideałów. Proces dopiero zaczął się, ale jest widoczny. W literaturze działają jeszcze dawne prądy obok nowych. Przeżyliśmy dotąd dopiero lat kilka nowej epoki, więc można tylko stwierdzić dokonywające się zmiany — i czekać.

Powieść stanowi wciąż naczelny rodzaj literacki, ale zapewne jest poza szczytem swego rozwoju i wykazuje pewne cechy schyłkowe. Ma ona dwoisty charakter. Jedni szukają nowych dróg i chcą stwarzać wartości trwałe, drudzy stosują się do rynku i produkują poczytną tandetę. Typowym przedstawicielem takiego dualizmu twórczości był *Arnold Bennett*, który jedne powieści (realistyczny cykl „pięciu miast", t. j. okręgu garncarskiego Staffordshire) pisał z wyższemi aspiracjami, w innych myślał tylko o doraźnem powodzeniu. Fabrykacja pokupnych powieści i nowel stała się popłatnym zawodem — i są do tego liczne podręczniki. Z reguły wartość książki pozostaje w odwrotnym stosunku do jej nakładu.

Wytworzyła się hierarchja literacka, oznaczana określeniami: *highbrow*, *middlebrow* i *lowbrow*. *Lowbrows*, jak *Wallace*, *Wodhouse* i inni mają nakłady, dochodzące do miljona, *highbrows* osiągają rzadko większą cyfrę, niż kilkanaście tysięcy. Szaleją orgje niesmacznej i wprowadzającej zamęt w pojęciach, reklamy.

EKSPERYMENTATORZY

Eksperymenta powieściopisarzy z wysokiemi aspiracjami literackiemi polegają albo na eliminowaniu jednego dwóch lub wszystkich trzech zasadniczych pierwiastków powieści (akcja, charakterystyka i tło obyczajowe lub historyczne), które zastępuje się drobnostkową obserwacją świadomości, albo na wprowadzaniu nowych form (np. na szeregowaniu materjału nie wedle czasu, związków przyczynowych lub osób, lecz na podstawie miejsca).

Najśmielszą dotychczas próbą jest „Ulisses" Irlandczyka *Jamesa Joyce'a* (1922), dzieje dwóch głównych i szeregu podrzędnych postaci w ciągu 24 godzin. Opisuje absolutnie wszystko, używa też wyrazów, uznanych powszechnie w literaturze za nieprzyzwoite i niedopuszczalne. Pozostaje pod wpływem freudyzmu i lubuje się w obnażaniu impulsów płciowych. Przedstawia rzeczywistość i obrazy, w jakie rozwijają się w marzeniu myśli lub słowa osób. Jest lingwistą i mistrzem igraszki wyrazów. Zdania krytyki co do „Ulissesa" są podzielone. Jedni uważają go za objawienie nowej literatury, inni odwracają się ze wstrętem. Mojem zdaniem jest to porachunek autora z własną ewolucją duchową, a równocześnie olbrzymi żart, typowy żart irlandzki.

Powieść świadomości uprawia też *Wirginja Woolf*, traktując jednak motywy erotyczne z umiarem. I w jej twórczości należy podkreślić pierwiastek przekory względem uznanych poglądów i chęć wywołania protestów przeciw lekceważeniu rzeczywistości i praw natury („Orlando" w powieści pod tym tym tytułem żyje lat trzysta i z mężczyzny zmienia się w kobietę). Powieści Mrs. Woolf odznaczają się subtelnem oddawaniem nastrojów i pięknym stylem.

Powieść świadomości doprowadza do absurdu *Dorota Richardson*, która poświęciła już 10 książek, dziejom wewnętrznym jednej osoby (dotychczas jeszcze dość młodej).

Płeć do doniosłości siły kosmicznej rządzącej światem, usiłował podnieść *D. H. Lawrence*. Pogardzał on zarówno cywilizacją materjalną, jak chrześcijaństwem, głosił powrót do przedchrześcijańskich epok, imponujących mu kultem niczem nie hamowanej krwi i siły. Należy do mistrzów noweli, w powieści udają mu się opisy, opowiada gorzej. Szereg jego ostatnich utworów powstał pod wpływem rozdrażnienia autora krytyką i stanowiskiem cenzury. Lawrence zasuggestjonował się własnym poglądem na świat i zbłądził na bezdroża, lecz zdawał sobie dobrze sprawę, czego brak naszym czasom.

Brak im religji, lecz on szukał jej w nieodpowiednich epokach i środowiskach.

MISTYK I SATYRYCY

Obsesji płciowej czasów ulega i T. *F. Powys*, lecz łączy z nią pierwiastki mistyki. Maluje w czarnych barwych wieś południowo - angielską. Szaleją tu zmysłowość, okrucieństwo i chciwość. Może punktem wyjścia do nakreślenia tego obrazu była twórczość

Hardy'ego. Lecz Hardy doszedł do koncepcji Boga jako Nieświadomej Woli, nie wiedzącej, jakie zadaje cierpienia, Bóg Powysa jest pomyślany na podobieństwo ludzkie. Cierpi sam, ma wyrzuty sumienia, chodzi po świecie w ludzkich postaciach i czasem, gdy nieprawości i męki ludzkie przejdą zwykłą miarę, zawiesza prawa natury, naprawiając krzywdy i wymierzając sprawiedliwość. Niezdolnym do życia wskutek przebytych cierpień daje śmierć. Wogóle śmierć jest wielkiem szczęściem, wyzwoleniem z chaosu i z męki. Niesamowita twórczość Powysa zrodziła się z wyobraźni celtyckiej, z odwiecznego zagadnienia, jak pogodzić zło na świecie z dobrocią Bożą — problem ten rozwiązać może tylko wiara, rozum jest tu bezsilny. Charakterystyczne piętna powieściom i nowelom tego niezmiernie interesującego autora nadaje połączenie mistyki z drobiazgowym rysunkiem postaci, przypominającym holenderską szkołę malarską.

Olbrzymie rozmiary przybiera w beletrystyce dzisiejszej Anglji satyra. Jest to w związku z panowaniem negacji, a zapewne i z antyhumanistycznym i antyromantycznym charakterem czasów. Na czele powieściopisarzy satyrycznych kroczą *Aldous Huxley* i *Rose Macaulay*. Pierwszy z nich zajmuje względem życia stanowisko cyniczne, malując z lubością nikczemność ludzką, zmysłowość i kabotyństwo. W szeregu wcześniejszych utworów ogranicza się prawie wyłącznie do świata artystyczno - literackiego (i stąd ma się wrażenie, że ironja jego często jest autoironją). Lecz horyzont Huxley'a rozszerza się stopniowo i jego ostatni utwór „Wspaniały nowy świat" to świetna satyra na cywilizację materjalną naszych czasów, przedstawiająca przyszłą ludzkość, zorganizowaną konsekwentnie na zasadach dziś dopiero częściowo stosowanych.

Rose Macaulay, której ironja jest bardziej dobroduszna, ustawicznie zmienia przedmiot satyry. Atakowała wiktorjanizm, lecz później w związku z ogólną ewolucją pojęć — stanęła w jego obronie. Zresztą nie imponowały jej nigdy fałszywe bożyszcza naszych czasów, ośmieszała i psychoanalizę i brednie o nowoczesnej wolnej kobiecie i tandetę beletrystyczną i mnóstwo innych podobnych plag doby powojennej. Wycieczkę Miss Macalay na pole powieści historycznej uwieńczyło również powodzenie.

TRADYCJONALIŚCI I POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Na czele beletrystów, którzy trzymają się utartych dróg, kroczy *Hugh Walpole*. W twórczości jego można — poza paru luźnie stojącemi powieściami — rozróżnić pięć cyklów: młodzieńczy lub kornwalijski (a więc regjonalny) polczesterski — tłem jego jest miasto katedralne Polchester — nazwa fikcyjna (pod którą kryje się Exeter); obyczajowo - społeczny, przesiąknięty naprzód tendencjami antywiktorjańskiemi, później stanowiący obronę wiktorjanizmu; rosyjski (powstały z przeżyć w armji rosyjskiej i w czasie rewolucji) i wreszcie herriesowski (są to dzieje rodu Herriesów w ciągu lat dwustu, rodzaj historji obyczajowej Anglji i próba skreślenia psychiki narodowej). Najwyżej stoi powieść „Katedra" z cyklu polczersterskiego, malująca tragedję duchownego starej daty, rzeszą żądnego władzy egoisty na tle rozstroju Kościoła anglikańskiego i konfliktu między pokoleniami.

Zdeklarowanym naśladowcą Dickensa jest J. B. Priestley autor „Dobrych towarzyszy", w których wskrzesił powieść gościńca i gospody. Jeżeli satyrycy odznaczają się dowcipem, to Priestley posiada w wysokim stopniu dar humoru. Nie lubi malować ujemnych stron życia, nie boi się być sentymentalnym. Wspomniana książka stanowi wyjątek, gdyż mimo niewątpliwie wysokich zalet literackich była przez czas dłuższy tz. *best seller* (tj. miała największy pokup).

Powieść historyczna zaczyna dopiero powoli odżywać. Pewien jej surogat stanowiły półpamiętnikarskie utwory uczestników wielkiej wojny. *Sheila Kaye Smith* przeniosła swą powieść regjonalną w przeszłość. Jej tendencje katolickie są bardzo widoczne. Wogóle pisarze, osnuwający swe utwory na przeszłości dziejowej, jakkolwiek starają się nagół o wielką dokładność w przedstawieniu wypadków i rysunku tła, wykazują zwykle tendencyjność, która ujawnia się w wyborze i ujęciu tematu. Najwybitniejsza tu *Naomi Mitchison* znalazła ostatecznie swój ideał w pierwotnej, komunistycznej Sparcie. Od ambitnego, ogromnego dzieła „Król zboża i królowa wiosny", gdzie przedstawia cały szereg środowisk starożytnych z czasu ok. 200 r. przed Chr., wyżej stoją wcześniejsze utwory, poświęcone Grecji. *Robert Graves* rehabilituje cesarza Klaudjusza w dwóch długich powieściach. Odznaczają się one ciekawą formą — są dziełami historycznemi, pisanemi przez samego bohatera. Jak Graves monarchistą, tak *Jack Lindsay* jest zwolennikiem dyktatury, jego ukochaną postacią Juljusz Cezar.

W samych wykładach byłem zmuszony pominąć niejedno nazwisko i nie jeden utwór, zasługujący na wzmiankę lub nawet na omówienie. Nie chciałem ani popaść w rozwlekłość, ani zbytnio rozstrzelać uwagi słuchaczy. W niniejszem streszczeniu proces ten poszedł jeszcze dalej. Na zakończenie powtarzam, iż nowa epoka w historji literatury angielskiej dopiero zaczęła się i trudno przewidzieć możliwości, ukryte w dzisiejszem szukaniu nowych dróg i błądzeniu po manowcach.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

O krakowskim Dolnym Zamku

Niejeden z rodowitych krakowian nie wie gdzie w podwawelskim grodzie znajduje się Dolny Zamek. Miano to przypadło w udziale kościołowi św. Andrzeja wznoszącemu się przy ul. Grodzkiej, w bezpośredniem sąsiedztwie kościoła Apostołów św. św. Piotra i Pawła. Kościół św. Andrzeja zwraca ogólną uwagę jako jedyny w Krakowie zabytek architektury romańskiej. To już świadczy o jego podeszłym wieku i o tem, że fundacji tego kościółka doszukiwać się należy w stuleciu XI, względnie XII. Niektórzy twierdzą, że kościół i klasztor św. Andrzeja wzniósł w roku 1129 słynny wojewoda krakowski Sieciech i oddał go w zarząd Benedyktynom. Według innych kościółek powstał w wieku XI, i początkowo nosił wezwanie św. Idziego. Dopiero gdy w wieku XIV, u stóp Wawelu, powstał nowy kościółek, dziś znany pod wezwaniem św. Idziego, opisywana przez nas świątynia przybrała imię św. Andrzeja. Długosz na przekór innym twierdzi, że kościół św. Andrzeja ufundował w roku 1144 Piotr Duńczyk, pan na Skrzynnie.

W owym czasie cały kompleks budynków klasztornych, nie wyłączając kościoła św. Andrzeja, leżał poza murami miasta, został więc wkrótce po wzniesieniu solidnie obwarowany. Mury obronne klasztoru i kościoła św. Andrzeja zdały doskonale egzamin w czasie napadu Tatarów w roku 1241.

W popłochu opuścił wówczas miasto, na wieść o zbliżaniu się hord barbarzyńców, Bolesław Wstydliwy, chroniąc się na Węgrzech, u teścia swego króla Beli. W popłochu uciekali z Krakowa jego mieszkańcy, kryjąc się po puszczach niedostępnych i bagnach. Tylko garstka krakowian, ufając murom kościoła św. Andrzeja, który w tym właśnie czasie dzięki swym zaletom obronnym zyskał sobie miano Dolnego Zamku, w odróżnieniu od Zamku Górnego, czyli Wawelu, schroniła się w jego wnętrzu i ocalała. Tatarzy zniszczyli bowiem całe miasto, a tych z pośród mieszkańców, którzy nie uciekli, bądź wymordowali, bądź uprowadzili z sobą, św. Andrzejowi nie mogli jednak dać rady, mimo zaciekłych szturmów, które podsycała wiara, że w tym klasztorze ukryte są wszystkie skarby wyludnionego miasta.

Z ciekawszych wypadków dziejowych które pozostawiły ślady na murach tego kościoła, wymienić należy, oprócz napadu tatarskiego, oddanie świątyni P.P. Klaryskom około roku 1320 i dobudowanie dla nich w jej bezpośredniem sąsiedztwie klasztoru. P.P. Klaryski przybyły tutaj z Grodziska koło Ojcowa. Sto lat wcześniej, gdy Konrad książę mazowiecki, stryj młodocianego wówczas Bolesława Wstydliwego, chcąc roztoczyć opiekę nad swym bratankiem, rozpoczął wojnę z Henrykiem Brodatym, zawładnął na krótko zresztą Dolnym Zamkiem i swoimi ludźmi go obsadził. Niedługo najeźdźcę wyparł Henryk Brodaty i przepędził poza mury miasta.

W r. 1445 i 1473 kościół został częściowo zniszczony pożarem. Przy końcu XV stulecia kościółek odnowiono nakładem dwóch biskupów krakowskich, Jerzego Radziwiłła i Bernarda Maciejowskiego.

Do kościółka św. Andrzeja przywiązana jest następująca legenda: „Władysław Herman, król polski, pojąwszy za żonę Judytę, córkę Wratysława, króla czeskiego, gdy owoców małżeństwa z długo niepłodnej żony doczekać się nie mógł, za radą Lamberta biskupa krakowskiego, wysłał posłów do Narbonny, do grobu św. Idziego z podarkami, oraz z prośbą do mnichów o uproszenie królowi potomka płci męskiej. Mnisi pościli przez dni trzy, a następnego mieli objawienie, iż Judyta poczęła syna. Posłowie wróciwszy do domu znaleźli jak było objawione, i królowa syna porodziła (był to Bolesław Krzywousty). Judyta była nabożną: uprosiła przeto męża, iż na cześć św. Idziego Kościół ten wystawił i uposażył". Ponieważ w owych czasach miano św. Idziego nosił dzisiejszy kościół św. Andrzeja, więc legenda ta do niego się odnosi.

Jak już zaznaczono kościółek św. Andrzeja jest jedynym w Krakowie w całości zachowanym zabytkiem architektury romańskiej. Cechy tego stylu nosi jego wygląd zewnętrzny. Zawód czeka jednak zwiedzającego świątynię, gdy przekroczy jej próg. Z romańskiego stylu nie pozostało niemal tu ani śladu. Zastąpił go piękny barok, misterne stiuki, oryginalna ambona w kształcie łodzi Piotrowej z żaglami i linami, ołtarz wielki z czarnego marmuru o ażurowych ścianach itd.

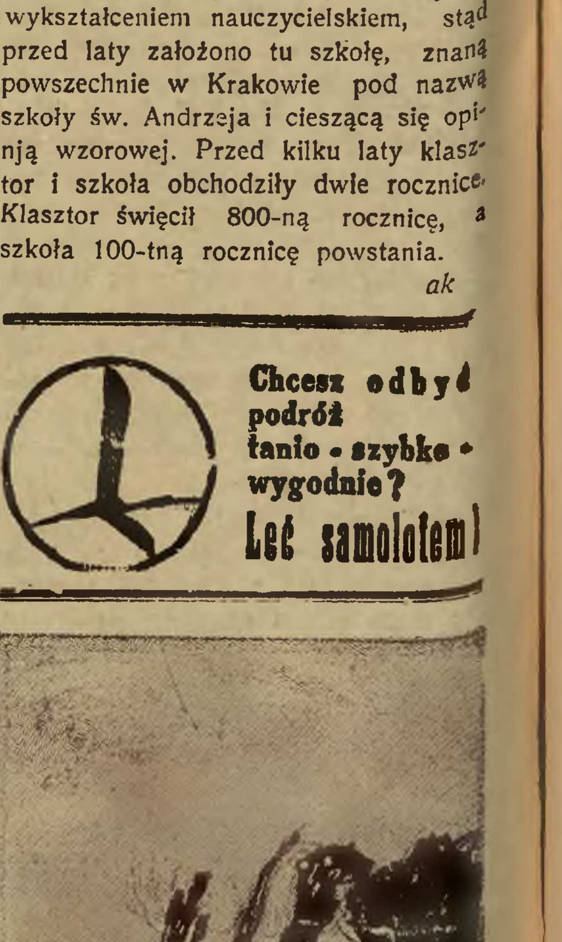
Na ścianach znajdują się malowidła ze scenami z życia błog. Salomei Klaryski. Zakrystja skromnego z zewnątrz kościółka św. Andrzeja kryje w sobie szereg cennych okazów. Zwracają uwagę dwie kosztowne dalmatyki, suto złotem haftowane, ozdobione scenami z życia błog. Salomei. Cenną dla P.P. Klarysek relikwją jest przechowywana przez nie pieczołowicie włosiennica błog. Salomei, oraz oprawiony w srebro jej ząb, który nosi na piersiach każdorazowa ksieni Zakonu.

Stare dokumenty, przechowywane w archiwum klasztoru, wśród których pełno jest nadań, przywilejów królów polskich i panów, doczekały się naukowego opracowania i wydania w formie książki. Z cennych pamiątek z czasów odległych, znajdujących się w posiadaniu zakonnic z klasztoru św. Andrzeja, wymienić należy pięknie ręcznie pisany antyfonarz i mały obrazek bizantyński z XII, względnie XIII stulecia, przedstawiający Najświętszą Pannę. Obrazek ten, wraz z relikwjami błog. Salomei przynoszą zakonnice do łoża umierającej Klaryski.

Zakon P.P. Klarysek jest bardzo surowy. Obowiązuje w nim bezwzględna klauzura. Ponieważ od dawna wśród zakonnic przeważają osoby z wykształceniem nauczycielskiem, stąd przed laty założono tu szkołę, znaną powszechnie w Krakowie pod nazwą szkoły św. Andrzeja i cieszącą się opinią wzorowej. Przed kilku laty klasztor i szkoła obchodziły dwie rocznice. Klasztor święcił 800-ną rocznicę, a szkoła 100-tną rocznicę powstania.

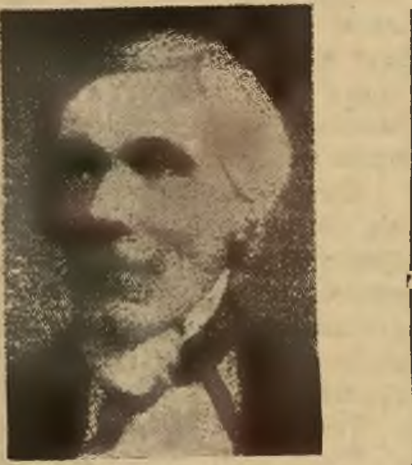
ak

Chcesz odbyć podróż tanio • szybko • wygodnie? Leć samolotem!



Wyczółkowski: Pejzaż

Stulecie finlandzkiej epopei



Eljasz Lönnrot.

Dzień 28 lutego br. był dla Finlandji wyjątkowo uroczystem świętem. Bo oto równe sto lat temu, dnia 28 lutego 1835 roku, pojawiło się pierwsze wydanie „*Kalewali*", narodowej epopei ludowej, zaopatrzone przedmową Eljasza Lönnrota, jej autora.

Obejmowało ono 32 pieśni, a ponad dwanaście tysięcy wierszy. Natomiast ostatnie, definitywne wydanie z roku 1849 liczy blisko 23 tysiące wierszy, zamkniętych w ramach pięćdziesięciu pieśni. Zestawienie tych cyfr, tak daleko odbiegających od siebie, wymaga pewnego wyjaśnienia.

Ułatwi nam to znacznie zaznajomienie się z życiem i z działalnością Eljasza Lönnrota.

Ostatni „laulaja"

Ciężką i smutną miał młodość Eljasz Lönnrot (ur. w r. 1802), czwarty syn ubogiego wiejskiego krawca. W domu brakowało nieraz nawet kawałka suchego chleba. Sześcioletni chłopak wystawał nierzadko pod drzwiami zamożniejszych sąsiadów, czekając na zmiłowanie. Żebrać nie umiał i nie śmiał.

Z wielkim trudem przebija się młody Eljasz przez życie, dostaje się do gimnazjum. Uczy się przeważnie nocami, w dzień bowiem pracuje jako pomocnik w aptece. A uczy się pilnie czyta dużo.

Latem 1828, już jako magister, wybiera się w wędrówkę po kraju. Ubrany po chłopsku, w kieszeni ma cały swój, z trudem uzbierany majątek w sumie stu rubli. W ręku tęgi kij, na plecach stara strzelba i plecak, a na piersiach przewieszony flet.

Wędruje od wsi do wsi. Gdzie tylko zbierze się więcej ludzi, chwyta za flet i zaczyna wygrywać na nim stare, ludowe piosenki. Ludzie słuchają zaciekawieni, a młody Eljasz „czuje się jak drugi Orfeusz, a raczej mówiąc po naszemu, jak drugi Wainamoinen" — notuje w swoim dzienniczku.

A potem wydobywa wydany niedawno zbiór pieśni ludowych, odczytuje teksty, prostuje je i uzupełnia zgodnie z uwagami swych przygodnych słuchaczy. W ten sposób powstaje duży zbiór pieśni ludowych, zwany „Kantele".

Lönnrota pociąga coraz silniej ta dziedzina. Następuje druga wędrówka. Po ukończeniu studjów i uzyskaniu doktoratu medycyny, Lönnrot osiedla się na zapadłej prowincji, zdaleka od większych ośrodków handlowych i kulturalnych. Ale upodobał sobie te strony z innego względu: oto tam właśnie dochowało się najwięcej starej tradycji.

Śpiewano tam stare pieśni ludowe, recytowano stare sagi, — na jarmarkach, weselach, w małych ciemnych chatynkach, przy turkocie kołowrotków. Recytatorów takich nazywano „*laulajat*". Byli to ludzie starzy, którzy materjał przekazany im przez przodków niejednokrotnie upiększali własnemi dodatkami i dość swobodnie przerabiali.

Lönnrot słuchając tych pieśni i opowieści doszedł wkrótce do wniosku, że wszystkie one mają jedno wspólne źródło. Postanowił tedy zbierany materjał odpowiednio uporządkować i zespolić w jedną całość. Tak powstała finlandzka epopea ludowa, godna stanąć w jednym rzędzie z podobnemi arcydziełami literatury helleńskiej, indyjskiej czy perskiej.

A Eljasz Lönnroh, syn ubogiego szewca, stał się poetą narodowym Finlandji, — jako ostatni wielki „laulaja",

Konstrukcja i treść Kalewali

Uchodzi „Kalewala" — i słusznie — za narodową epopeję. Temniemniej stwierdzić trzeba, co zresztą przyznają wszyscy badacze, że jest ona dziełem jednego człowieka, Lönnrota. Jak już wspomniałem, posiadała Finlandja — podobnie zresztą jak wszystkie inne kraje — bogate skarby prastarych pieśni, klechd i legend, żyjących w ustach ludu. Wyczuwało się w nich wyraźny wpływ kultury zachodnio - europejskiej

Były to jednak luźne fragmenty, nie powiązane żadną nicią przewodnią. I dopiero Lönnrot doszukał się w nich pewnego ideowego związku. Z odwagą uzurpatora zabrał się do pracy, w której — nie zmieniając ani na jotę pierwotnego, ludowego tekstu poszczególnych pieśni — segreguje i porządkuje cały olbrzymi materjał, nadaje mu silny, jednolity kościec.



Fragment tryptyku Gallen-Kallela.

Stanowisko swoje określa zresztą wyraźnie w przedmowie do „Kalewali" stosując do siebie słowa, które włożył w usta jednego ze swych bohaterów, Lemmin Käinena:

Sam wywyższyłem się na śpiewaka,
Sam stałem się bardem - czarodziejem.

Że wybrał właściwą metodę, — pokazało się wkrótce. Epos, przez niego stworzony, zawiera wszystkie pierwiastki poezji ludowej i narodowej, wszystkie legendy, klechdy i podania, wszystkie motywy historyczne. Jest nie ocenioną skarbnicą tradycji i pieśni gminnej, tej „arki przymierza między dawnemi a nowemi laty".

Nie odrazu zrozumiano i oceniono należycie znaczenie „Kalewali". Uważano ją za miłą opowieść o tych dawnych, dobrych czasach, kiedy ludzie byli lepsi, żyjąc w najściślejszym kontakcie z przyrodą. Ale już wówczas, w owych mitycznych czasach, musieli mieszkańcy „Kalewali" staczać zacięte boje ze swoim wrogiem. Był nim drugi lud „*Pohjola*", w którego posiadaniu znajdował się cudowny talizman „*Sampo*", przynoszący szczęście. Walka zakończyła się zwycięstwem mieszkańców Kalewali, a więc symbolicznem zwycięstwem dobra nad złem, światła nad ciemnością.

Nawiasem wspomnieć trzeba, że ani owi liczni „*laulajat*", których pieśni i baśnie stanowiły dla Lönnrota substrat do jego eposu, ani sam Lönnrot nie wiedział dokładnie, co należy rozumieć właściwie pod owem tajemniczem okre śleniem „Sampo".

Niemniej ciekawym jest sam tytuł dzieła: Kalewala oznacza dosłownie „ziemia Kalewy", mitycznego ojca bohaterów. Ale sam Kalewa nie występuje zupełnie w poemacie. Natomiast syn jego „*Kalewipoeg*" jest bohaterem analogicznej epopei estońskiej.

Natomiast bohaterem „Kalewali", rodzajem Ulissesa i Orfeusza Północy w jednej osobie, jest *Väinämöinen*, śpiewak - poeta, twórca starożytnej harfy „Kantele". Poemat rozpoczyna się od narodzin bohatera, a kończy opisem jego odjazdu na barce do jakiejś krainy zawieszonej między niebem a ziemią. A odpływając śpiewa:

„Annapas ajan kulua,
päivän mennä, toisen tulla,
taas minua tarvitahan,
katsotahan, kaivatahan..."

„Szybko czas nad nami płynie — mija dzień, przychodzi drugi, — będę jeszcze wam potrzebny, — szukać, wołać mnie będziecie!"

I ludzie widzieć w nim będą mityczne Sampo, drugi księżyc, drugie słońce, bo

kun ei kuuta, aurinkoa,
eikä ilmaista iloa.

„Gdy niema księżyca ni słońca, brak w powietrzu radości". Tak oto śpiewa stary Väinämöinen, pozostawiając za sobą krainę tysiąca jezior.

* * *

Koło tej centralnej postaci grupują się inne figury eposu. A więc piękna młoda Aino, co nie chcąc poślubić starego czarownika tonie w jeziorze i zamienia się w rybkę. Wyławia ją Väinämöinen, ale Aino przybiera ludzką postać i znika na zawsze. (Epizod ten zilustrował wspaniale malarz Gallen-Kallela w swym tryptyku).

Występuje dalej Louhi, królowa legendarnego ludu Pohjola. O rękę jej córki ubiega się Väinämöinen i wróg jego Lemmin Käinen, niesympatyczny typ awanturnika, którego jedynym piękny dodatnim rysem jest jego wielka miłość do matki.

Wreszcie brat bohatera, Ilmarinen, oraz groźny rozbójnik Kullervo, którego postać natchnęła fantazją niejednego malarza.

Reminiscencje Orfeusza znajdujemy w pieśni XVI, w której bohater zstępuje do podziemnego królestwa śmierci, gdzie króluje bóg śmierci Tuoni i bóg nieba, Jumala.

Znaczenie „Kalewali"

Trzeba tu odróżnić dwa momenty: kulturalny i polityczny. Sami krytycy finlandzcy, z E. N. Setälä na czele, podnoszą, że „Kalewala" nie wyczerpuje ani w przybliżeniu przebogatej skarbnicy pieśni ludowej i narodowej, — lecz może stanowić tylko jedno ze źródeł ułatwiających zapoznanie się z całą twórczością narodu. Ale jest źródłem bardzo wartościowem i poważnem.

Nie obniża jej wartości i fakt, że obok motywów najstarszych, bezwątpienia oryginalnych, znajdują się w niej i elementy znacznie późniejsze, niekiedy i zapożyczone. Nie sam materjał bowiem, lecz jego przerobienie i opracowanie decyduje o wartości dzieła sztuki. A pod tym względem okazał się Lönnrot wielkim, skończonym artystą. Dlatego też jego „Kalewala" pozostanie na zawsze arcydziełem literatury światowej, — pozostanie źródłem do poznania życia duchowego narodu finlandzkiego, pozostanie wspaniałym hymnem na cześć życia i pieśni, na cześć zwycięstwa światła nad ciemnościami.

I tutaj trzeba wspomnieć o znaczeniu politycznem i społecznem tego eposu.

Faktem jest, że dzisiaj „Kalewala" nie cieszy się nawet w samej Finlandji wielką poczytnością. Ale niezaprzeczonym faktem jest również, że dzieło to wywarło przemożny wpływ na historję całego narodu na przestrzeni ostatnich stu lat.

Obudziło przedewszystkiem zaufanie i wiarę we własne siły. Finlandja, która do tego czasu w minimalnym zaledwie stopniu przyczyniła się do ogólnego dorobku literackiego ludzkości, — nagle stanęła wobec arcydzieła, nie ustępującego w niczem podobnym utworom innych, większych i szczęśliwszych narodów.

Odtąd poczęto z wiarą patrzeć w przyszłość narodu, a wiara ta była pierwszym, nieodzownym warunkiem dalszego rozwoju kulturalnego.

W ślad za tem obudziła się w ujarzmionym narodzie tęsknota za światłem i wolnością. Krzepiła „Kalewala" serca narodu, gnębionego przez długie lata głodem, nędzą, niewolą. Budziła sny i marzenia, coraz śmielsze, coraz zuchwalsze... Aż nadszedł dzień, kiedy pękły okowy, kiedy naród zdobył owe mityczne „Sampo" i mógł odetchnąć pełną piersią.

I słusznie setna rocznica pojawienia się „Kalewali" obchodzoną była w całej Finlandji jako uroczyste święto. Sprawdziły się słowa Väinämöinena, że przyjdzie chwila, gdy cały naród ponownie szukać i wołać będzie...

(kr.).



Matka Lemminkäinena (obraz Gallen-Kallela).

Problemy psychologji pedagogicznej

Rodzina jest naturalnem i prastarem środowiskiem wychowawczem. Oparta na takich popędach jak miłość rodziców, potrzeba oparcia się o kogoś, występująca silnie zwłaszcza u kobiet, skłonność do udzielania opieki u mężczyzny, potrzeba opieki i towarzystwa u dzieci i popęd do pielęgnowania u matki, okazała się jednym z podstawowych warunków dla powstania, trwania i rozwoju wyższej kultury.

Prawdziwości powyższego twierdzenia dowodzą między innymi takie fakty jak doświadczenia, poczynione w sierocińcach. Mianowicie u dzieci w nich wychowywanych zaobserwowano pewne specjalne zniekształcenia psychiczne, niespotykane u dzieci, żyjących w obrębie rodziny. Rozumie się, że nie obalają go fakty istnienia rodzin, które oddziaływują jako środowisko wychowawcze ujemnie. Zawsze stanowią one coś nielicznego, wyjątkowego.

Z rozwojem umysłowym ludzkości, refleksja objęła swojem działaniem tak że i dziedzinę wychowania. Z czasem tworzy całą naukę o wychowaniu, która ma ułatwić człowiekowi oddziaływanie wychowawcze na młode pokolenie. Podstawę tej nauki tworzy pedagogiczna psychologja indywidualności i charakteru. Ma ona spełnić dwa zadania: 1) ma być dla rodziców i nauczycieli praktycznym środkiem pomocniczym; 2) dla nauki o wychowaniu ma dostarczyć znajomości dzieci i młodzieży, która ma być wychowywana.

Oprócz znajomości pedagogicznej psychologji innemi bardzo ważnemi czynnikami pomocniczemi w wychowaniu to; wczucie się w duszę poszczególnego dziecka, takt wychowawczy i doświadczenie wychowawcze. Czynniki te przez długi czas wystarczały. Są jednak wypadki, gdzie potrzeba wiedzy. Tam mianowicie, gdzie trudno jest dorosłemu człowiekowi zrozumieć duszę dziecka względnie młodocianego, albo gdzie zachowanie się wychowanka jest uwarunkowane fizycznie.

Często jeszcze uważa się dziecko jakby za miniaturę dorosłego w tem znaczeniu, że przypisuje się dziecku wszystkie właściwości psychiczne dorosłego, tylko jakgdyby w słabszem natężeniu. Nie dość jasno zdają sobie rodzice sprawę z swoistości, odrębności psychiki dziecka względnie młodocianego.

W społeczeństwie naszem ruch na polu psychologji wychowawczej, dopiero od niedawna zaczęty, jest już dość żywy, chociaż daleko mu do porównania z zagranicznym. Ogół o tych sprawach wie niewiele dla braku popularyzatorów zdobyczy naukowych.

A przecież rodzice winni dążyć do przyswojenia sobie tych wiadomości — przynajmniej w dużym skrócie — z najrozmaitszych powodów. Pomijając już moment czysto poznawczy, który skłania nas do zainteresowania się naturą człowieka, powody moralne i utylitarne przemawiają dość silnie za przyswojeniem sobie wyników badań pedagogiczno - psychologicznych.

Rodzice dając dziecku życie są odpowiedzialni moralnie za jego dalsze losy. Winni są w miarę swych możności ułatwić mu rozwój, dać mu wychowanie i uczynić z niego wartościowego członka społeczeństwa. Poznanie indywidualności własnego dziecka ułatwia ogromnie to zadanie. Zdobywa się w ten sposób możność kierowania dziecka np. ku zawodom odpowiednim. Osobnika, posiadającego inteligencję o zabarwieniu praktycznem, nie będzie się zwracało do pracy naukowej, gdzie potrzeba inteligencji teoretycznej. Słowem właściwy człowiek winien być stawiany na właściwem miejscu.

Dalszym motywem winna być egoistyczna korzyść. Już poznanie typowego przebiegu rozwoju dziecka wyjaśni rodzicom niejedno zjawisko, które napawa ich niepokojem, smutkiem i zdziwieniem. Wytłumaczy im przyczyny i sens pojawiania się w pewnym wieku przekory, albo też oddalania się się dojrzewającego od rodziców i rodzeństwa. Dość wczesne rozpoznanie pewnych symptomów chorobowych w anormalnym przebiegu rozwoju np. mowy, może nieraz przyczynić się do zwalczenia jego przyczyn.

Wreszcie możność ułatwienia sobie współpracy z nauczycielami powinna skłonić rodziców do zainteresowania się temi kwestjami. Hasło współpracy domu ze szkołą rozbrzmiewa głośno. Łączy się ono dzisiaj z dążeniem do przewagi czynnika szkolnego w wychowaniu. Jako argumentu używa się właśnie niewiedzy rodziców o tych sprawach i ich nieumiejętności. Zarzuty te zdają się być często słuszne, jednak braki nie są tego rodzaju, ażeby ich nie było można przy dobrej woli usunąć.

Zapomina się przy tem łatwo o brakach szkoły takich jak krótki czas poświęcony na kontakt nauczyciela i ucznia zwłaszcza przy dzisiejszem przepełnieniu klas, mimo wszystko sztuczność sytuacji i atmosfery szkolnej, stosunek obcości jaki zachodzi między uczniem i nauczycielem, bądź co bądź zarobkowy charakter czynności nauczyciela itp., które nie predestynują szkoły do zajęcia miejsca czynnika decydującego w wychowaniu. Oczywiście nie znaczy to, ażeby wpływ szkoły nie był wielki zwłaszcza w dziedzinie intelektualnej. Jest tylko przez ludzi pracujących na niwie szkolnej trochę przesadnie określany.

Istnieje tedy konieczność współpracy rodziców ze szkołą. Ona skolei budzi konieczność zorjentowania się przez rodziców w rezultatach do jakich dzisiaj doszły nauki pedagogiczne, a to dlatego, ażeby mogli oni z nauczycielstwem znaleść wspólny język, poruszyć zagadnienia sięgające głębiej w proces wychowawczy, a wyzbyć się banalności i powierzchowności w ujmowaniu tych spraw.

Chcący zaznajomić się z psychologją pedagogiczną mają już dziś do dyspozycji szereg książek w języku polskim, tak oryginalnych jak też i przyswojonych z języków obcych. Do niedawna stan tych rzeczy był raczej niekorzystny.

Trzeba tylko wziąć się do czytania. Przed kilku miesiącami czytałem sprawozdanie z ruchu wydawniczego, w którem wyraźnie podkreślono, że u nas jedynie książka pedagogiczna oparła się zwycięsko kryzysowi. Nie łudzę się jednak, ażeby było to zasługą sfer, stojących poza szkolnictwem, przeciwnie uważam, że do takiego wyniku przyczyniło się wyłącznie nauczycielstwo. Byłoby bardzo pożądane, ażeby także rodzice z warstw wykształconych nawiązali ścisłą łączność z książką omawiającą problemy z psychologji pedagogicznej. *A. F.*

Lat temu dwa i pół tysiąca

Rewolucja Venizelosa i tragiczna wojna domowa w Grecji zwróciły znów uwagę całego świata na ów niewielki kraj, który stał się kolebką naszej kultury umysłowej.

Religję objawioną dał nam Bóg-Chrystus, ale zjawiła się ona na Wschodzie, wśród narodu żydowskiego; naszą kulturę, sztukę i naukę wzięliśmy od Greków, wreszcie Rzymianie dali nam prawo i organizację. Od czasów rozkwitu greckiej potęgi i kultury minęło już przeszło 2.500 lat, a przecież myśl Europejczyka wciąż biegnie do owych idealnych rzekomo czasów, kiedy ludzie kochali się w pięknie świata i pięknie człowieka, a nad Helladą władał nie groźny Zeus, ale grający na lirze Apollo.



Ruiny Aten peryklesowych; w głębi wzgórze Akropolu.

Jak słusznie zwrócili na to uwagę nowocześni pisarze, ludzkość wyrosła na helleńskiej i rzymskiej cywilizacji, tęskni podobnie do owych czasów starożytnych, jak każdy człowiek do swej młodości. Stąd pochodzi idealizacja starożytności, przecenianie jej stron dodatnich, a zamykanie oczu na cechy ujemne. Nie myślimy tu oczywiście o poglądach historyków, którzy zawsze i wszędzie muszą szukać historycznej prawdy, ale o sądach przeciętnych Europejczyków, wykształconych na klasycznej kulturze. Spróbujmy więc przypomnieć parę interesujących zjawisk z czasów Grecji w rozkwicie, a że stolicą duchową owej Grecji były zawsze Ateny, przeto zajmijmy się życiem ateńskim w V. w. przed Chr.

Kiedy dziś myślimy o Atenach z czasów Peryklesa, stają nam zaraz przed oczyma wspaniałe budowle Partenonu, teatru Dionizesa, rzeźby sławnego Fidjasza, rządy ateńskiej demokracji i t. d. Skłonni jesteśmy uwierzyć, że Ateny były takiem mocarstwem, za jakie przywykliśmy później uważać choćby Republikę Wenecji, czy Genui. Tymczasem w rzeczywistości rzecz przedstawia się nieco odmiennie. Kto chce należycie poznać bieg dziejów, ten musi przedewszystkiem nauczyć się historycznego myślenia, musi wżyć się w pojęcia i stosunki czasów, które minęły i pozostawiły nam tylko ślady ludzkich trudów.

Samo miasto Ateny, było, jeśli uwzględniamy dzisiejsze stosunki, zaledwie małem dwudziestopięciotysięcznem miasteczkiem, a inne sławne dla nas osady greckie, nie wyłączając Argos, Teb czy Sparty, wyglądały raczej, jak dzisiejsze wsie. Dopiero Perykles przez swą wielką akcję budowlaną, zrobił Ateny piękną i okazałą stolicą ateńskiego związku morskiego. Toteż ustrój polityczny był dostosowany ściśle do warunków miejscowych. Tylko w małych osadach można było oprzeć urządzenia państwowe na uchwałach zgromadzenia ludowego, którego uczestnikiem stawał się każdy dorosły Ateńczyk. Czy wyobrażamy sobie, jakby wyglądało takie powszechne zgromadzenie obywateli np. w Warszawie, lub choćby we Lwowie?

Rządził w takiem państwie lud, „demos“, który nie pozwalał nigdy na system rządów reprezentacyjnych, (jak to się dzieje np. w dzisiejszych parlamentach), ale żądał, aby on i tylko on miał wyłączną decyzję w najważniejszych sprawach państwowych. Nowe badania historyczne*) rzuciły ciekawe światło na rządy owej „radykalnej“ demokracji ateńskiej.

Cóż to był przedewszystkiem ów lud ateński, którego długoletnim przywódcą mógł być tylko tak wspaniały mówca, jak Perykles? Otóż wielka rewolucja społeczna, jaka dokonała się w Attyce w wiekach VII. i VI. przed Chr., doprowadziła do zaprowadzenia umiarkowanego ustroju kapitalistycznego, opartego na drobnych posiadaczach ziemskich i samodzielnych rzemieślnikach. Po obaleniu rządów bogatych „obszarników“ ateńskich, a potem nieprawnej władzy tyranów, zaprowadzono ustrój demokratyczny, w którym t. zw. „warstwy średnie“ upatrywały dla siebie jaknajwięcej korzyści. Kto chce pojąć ówczesne stosunki, musi pierwej przyzwyczaić się do dziwnej trochę dziś dla nas zasady, iż nie lud sprawuje rządy dla dobra państwa, ale państwo jest tylko narzędziem w rękach „demosu“, ludu i „demos“ winien wyciągnąć z państwa jaknajwięcej zysków dla siebie. Stąd pochodziły takie urządzenia, że elita ateńska, ta, która

*) T. Wałek - Czernecki: Próba charakterystyki demokracji greckiej.
M. Kreczmar: Kilka zagadnień z historji Grecji starożytnej (Przegląd Historyczny, rok 1930—31).

posiadała najwięcej praw, miała też najwięcej obowiązków, a ponieważ stanowiła klasę najbogatszą, przeto rujnowano ją wprost najcięższemi podatkami t. zw. „lejturgjami". (Widzimy, jak aktualne są te kwestje dzisiaj, kiedy tyle mówi się o elicie, posiadającej wielkie prawa, ale też i największe obowiązki). W ateńskiej demokracji doprowadzono też do skrajności zasadę równego uprawnienia wszystkich obywateli do sprawowania urzędów. Urzędników przestano wybierać, co umożliwiało przecież pewną selekcję, ale poprostu losowano ich spośród ogółu obywateli. Z zasady, że „państwo jest dla ludu" płynęły dziwaczne dla nas ustawy, każące płacić skarbowi państwa obywatelom za udział w zgromadzeniach ludowych i w sądach przysięgłych. Ten fakt wyśmiewał już komedjopisarz Arystofanes, pisząc, że Ateńczycy wracają ze zgromadzenia ludowego rozmawiając nie o tem, co uchwalili, ale o tem, ile zarobili. Mało tego. „Drobnoburżuazyjna" (jakbyśmy dziś powiedzieli), ale „radykalna" demokracja" ateńska z czasów Peryklesa, mająca wiele podobieństwa do współczesnej „radykalnej" demokracji francuskiej, marnowała nietylko dochody państwa, ale także niszczyła wybitnych ludzi. Procesy o zamach na prawa ludu, o bezbożność, szły jedne za drugiemi. Oskarżano pokolei Kimona, pogromcę Persów, filozofa Anaksagorasa, rzeźbiarza Fidjasza, szereg wybitnych wodzów w czasach wojny peloponeskiej, skoro tylko nie powiodło im się w walce. Bezmyślny „gniew ludu" nie oszczędził obu najwybitniejszych ludzi w ówczesnych Atenach: Peryklesa, najsławniejszego mówcę, bożyszcze tłumów, prawdziwego dobroczyńcę Aten skazano na karę pieniężną, a prawie trzydzieści lat później skazano na śmierć Sokratesa, największego myśliciela i filozofa niepodległej Grecji. Działo się to wszystko pod hasłem „równania ku dołowi", niszczenia wielkości rzekomo niebezpiecznych dla demokracji, a później ochlokracji (rządów ulicznego motłochu).

Warto też zwrócić uwagę na fakt, powtarzający się w dziejach, że rządy skrajnej demokracji są „złotym okresem" dla wszelkiego rodzaju związków tajnych. Rzecz to zupełnie zrozumiała. Władzę, pozostawioną na ulicy, podejmują ci, którzy chcą i umieją rządzić. Tak w Grecji demokratycznej kwitły tajne, arystokratyczne związki pitagorejskie lub tajne kółka orfickie, tak też w naszych czasach Francją demokratyczną rządzą loże masońskie. A przecież, pomimo tylu cech ujemnych ateńskiej demokracji, zadziwia jeden fakt. Oto właśnie wtedy, w czasach niszczenia wielkości, zjawia się pod jasnem niebem Hellady szereg wybitnych ludzi, zarówno w dziedzinie polityki, jak nauki i sztuki, ludzi, których imiona po dziś dzień wymawiamy z czcią i podziwem: Perykles, Fidjasz, Sofokles, Eurypides, Sokrates, Anaksagoras, później Plato i Demostenes. Ludzie ci przeważnie męczyli się pod rządami motłochu, byli prześladowani. A jednak właśnie wtedy zakwitła nauka, wysoko wzniosła się sztuka, Ateny stały się i zostały przez długie odtąd wieki duchową stolicą europejskiego świata. Wytłumaczyć to można chyba wtedy, gdy przyjmiemy za greckimi tragikami, iż wielkość potrzebuje przeciwności i tragicznej walki z losem, aby stać się wielkością. Koniec „burżuazyjnej" demokracji greckiej nastąpił wskutek jej wewnętrznego rozkładu jeszcze wcześniej, zanim twarda stopa rzymskich legjonów przygniotła piękną, ale słabą Helladę.

Demokrację ateńską i grecką zniszczyły wewnętrzne walki, groźne ruchy społeczne owego prawdziwego proletarjatu, tych ludzi, którzy hołdowali przysłowiu „Primum edere, deinde philosophari" („naprzód jeść, potem filozofować"); pozostała po niej legenda i przestroga dla przyszłych pokoleń. Grecja, jak to świetnie wykazał w ostatnich artykułach o „Narodzie europejskim" Roman Dmowski, musiała zginąć, ponieważ kazała jednostce dbać przedewszystkiem o siebie, a nie o zbiorowość. To, co w jej cywilizacji i w cywilizacji rzymskiej było zdrowego, doszło do nas za pośrednictwem silnej, mądrej a zdrowej zbiorowości — Kościoła katolickiego.

Witold Nowosad

Co to jest botulizm?

Co pewien czas pojawiają się w prasie wiadomości o masowem czy indywidualnem zatruciu się nieświeżem mięsem, rybami lub konserwami. Notowano nawet niejednokrotnie wypadki śmierci z tego powodu.

Zwłaszcza w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych A. P. tego rodzaju wypadki nie należą do rzadkości, co tłómaczy się rozpowszechnionem szczególnie w tych krajach spożyciem wędlin względnie rozmaitych konserw.

Przez długi czas nauka nie wyodrębniała rozmaitych form i objawów podobnych zatruć, dopiero lekarz belgijski Van Ermengen, podczas formalnej epidemji szalejącej w Ellezelles, zdołał odkryć i opisać bakterje powodujące specjalną chorobę, zwaną botulizmem.

Bakterje te otrzymały naukową nazwę *Bacillus botulinus*. Groźny ten wróg człowieka posiada jedną charakterystyczną właściwość: oto może rozwijać się tylko wówczas, gdy nie ma do niego dostępu powietrze atmosferyczne.

Najlepszym zatem terenem dla niego będą: szczelnie zalutowane puszki z konserwami, wędliny, osłonięte grubym pęcherzem nie przepuszczającym powietrza, pasztety okryte grubą warstwą tłuszczu itp.

Tam — w odpowiednich warunkach — wytwarza on silne toksyny, które w organiźmie człowieka powodują przykre i ciężkie zaburzenia, a niekiedy stają się nawet przyczyną śmierci.

* * *

Toksyny te w działaniu swem wykazują pewne podobieństwo do bakteryj tężca (tetanus), przedewszystkiem dlatego, że atakują głównie system nerwowy.

Zaczyna się to zazwyczaj od narządu wzroku. A więc: nadmierne rozszerzenie źrenicy (podobnie jak przy zatruciu atropiną), upośledzenie akomodacji oka, paraliż mięśni gałki ocznej i mięśni powieki, oraz ograniczenie pola widzenia.

O ile nie przystąpi się natychmiast do energicznego leczenia, — nastąpić może porażenie mięśni języka, krtani, przełyku, a nawet jelit.

Towarzyszy temu nieznośna suchość w ustach, gardle i nosie. Chory zachowuje pełnię władz umysłowych, ale jedzenie i mówienie sprawia mu wielkie trudności, a oczy odmawiają posłuszeństwa.

Przy odpowiednich zabiegach lekarskich wszystkie te objawy pomału ustępują, chory wraca do zdrowia, okres rekonwalescencji trwać jednak może parę tygodni.

* * *

W każdym razie „botulizm" jest chorobą poważną, wymagającą spiesznej interwencji lekarza, który jedynie może zaaplikować konieczne środki zaradcze, jak przepłukanie żołądka, podawanie do wewnątrz sproszkowanego węgla zwierzęcego itp.

Bakterje te bowiem są bardzo zjadliwe i niebezpieczne. Ilustruje to najwymowniej wypadek, jaki zdarzył się w Paryżu w roku 1929.

Pewien młody lekarz pracował w laboratorjum nad wyodrębnieniem toksyn tych bakteryj, pragnąc uzyskać z nich szczepionkę przeciw tej chorobie. W trakcie doświadczeń dostało mu się do oka nieco tych toksyn, które zdołał uzyskać w stanie sproszkowanym. Drobna ta ilość wystarczyła, by lekarz nieostrożność swą przypłacił życiem.

* * *

Na szczęście istnieje cały szereg sposobów, zabezpieczających nas w znacznym stopniu przed niebezpieczeństwem botulizmu.

Bakterje te są bardzo wrażliwe na wysokie temperatury. Wystarczy zatem poddać wędliny czy pasztety działaniu wysokiej temperatury przez czas dłuższy, by zniszczyć zupełnie zarówno same bakterje jak i ich toksyny.

Dlatego możemy bez najmniejszej obawy konsumować wszelkie wędliny, o ile zostały one należycie zrobione i poddane odpowiedniej sterylizacji.

Co się tyczy konserw wskazaną jest wielka ostrożność przy puszkach, których pokrywa wykazuje pewne wypuklenia czy „wzdęcia".

Dowodzi to bowiem, że bakterje rozwijają się wewnątrz i wytwarzają przy tem gazy, których ciśnienie jest dość silne, by spowodować podobne wypuklenia cienkiej blaszanej pokrywy.

Pozatem konserwy nieświeże po otwarciu puszki wydzielają niemiły, charakterystyczny zapach, — co również każe nam mieć się na ostrożności.

Mimo wszystko jednak wskazanem jest zawsze staranne zagotowanie wszelkich konserw przed ich spożyciem, co zabezpieczy nas najlepiej przed przykremi niespodziankami. Dotyczy to w równej mierze konserw mięsnych i rybnych, jak i roślinnych.

* * *

Na jedną jeszcze rzecz zwrócić należy uwagę. Stwierdzono, że bakterje botulizmu mogą znajdować się również w ziemi, w stajniach, oborach itp. Nie jest tedy rzeczą wykluczoną, iż dostać się one mogą przypadkowo do naszych pokarmów, jak jarzyny, owoce, drób zabity, które przez nieuwagę czy niedbalstwo położymy na ziemi.

I pod tym względem zatem konieczną jest pewna ostrożność.

Przy dzisiejszym stanie higjeny i ostrych przepisach sanitarnych wypadki botulizmu zdarzają się coraz rzadziej, i to przeważnie sporadycznie.

Tem niemniej powinniśmy zawsze liczyć się z możliwością tej choroby, — stanowiącej — jedną z ciemnych stron nowoczesnego postępu. Choć to bowiem brzmi niemal absurdalnie, to jednak faktem jest, że niejedna z zdobyczy postępu i wiedzy (jak w danym wypadku przemysł fabrykacji konserw) komplikuje poważnie nasze życie, stwarzając nowe, nieznane dawniej, niebezpieczeństwa.

(dr. L.)

O inteligencji zwierząt

Do artykułu p. H. Ł. z dnia 20. II. b. r. mogę dorzucić kilka spostrzeżeń z własnego doświadczenia. Za prawdomowność ręczę.

Ulubiony pies mego ojca, który nigdy nie oddalał się po za obejście folwarczne, poszedł w pole w dniu śmierci mego ojca zagranicą i przypadkowo nie rozpoznany przez strzelca, został zastrzelony dokładnie o tej samej godzinie, kiedy mój ojciec zakończył życie.

2 moje legawce nie odstępywały mnie nigdy na wsi; natomiast bezemnie, a w mojej nieobecności, nie wolno im było oddalać się po za obręb obejścia, z jednej strony po za most rzucony przez młynówkę, z drugiej po za bramę; chyba pod nadzorem mojej żony. Udając się pewnego razu za interesami do miasta, zapowiedziałem mój powrót na środę, a gdybym nie powrócił na czas, to miały mnie konie oczekiwać przy każdym pociągu na dworcu oddalonym około klm. od folwarczku. Wróciłem w piątek. Oba psy oczekiwały mnie na moście okazując szaloną radość z mego powrotu. Zapytany furman, czy za każdym wyjazdem po mnie na dworzec psy mnie oczekiwały oświadczył, że dopiero dziś psy czekały na moście pierwszy raz.

Inny mój pies legawy struł się podrzuconą, zdaje się, trutką. Wraz z żoną robiłem co należało, by psa uratować. Niestety musiałem wyjechać i opiekę nad psem oddałem żonie. Pies miał swe legowisko w przedpokoju, a moja żona była zajęta w przyległej mojej kancelarji. Wieczorem pies drapał do drzwi i żona go wpuściła, przypuszczając polepszenie. Pies polizał ją po ręce, obwąchał fotel, na którym zazwyczaj siadałem pracując przy biurku, podszedł do szafki, w której mieściła się broń i amunicja, tam zawsze się cieszył, bo przewidywał wymarsz na polowanie. Odwiedził stojak na pośledniejszą broń i przybory myśliwskie, obwąchiwał torbę i troki myśliwskie, okrążył pokój, jakgdyby szukając czegoś, ponownie prosił żonę o pieszczoty i wyszedł do przedpokoju. Gdy po pewnym czasie żona chciała do niego zaglądnąć, leżał martwy przy drzwiach.

Inny pies chory na zapalenie płuc w prawie beznadziejnym stanie oczekiwał mego powrotu w południe, w porze objadowej. Dałem mu raz jeszcze aspirynę, po której trochę się ożywił, siadł przed drzwiami wchodowemi i nadsłuchiwał. Gdy żona weszła i zaczęła go głaskać i żałować, padł bez ducha u stóp naszych.

Piesek nasz — gdy po 5-ciu latach znów mnie zobaczył, wybił podwójne szyby, aby czemprędzej się ze mną witać. Stara nasza kotka, stale przesiadująca we dworze, wynosiła się w czasie naszej nieobecności na dzień do krowiarni, a noc spędzała w domku pachciarza mleczarza. Nie było wypadku, aby w dniu naszego powrotu kotka nie zajmowała miejsca na parapecie okna i tam czekała na nasz przyjazd, by znów wspólnie zająć mieszkanie.

Z czasów wojskowych pamiętam, że koń, który wiele lat spędził w tym samym plutonie i spowodu starości został sprzedany piekarzowi, który obiecał dobrze się obchodzić z koniem, uciekł po roku nowemu właścicielowi ze stajni, usłyszawszy trąbkę wojskową. Przygalopował do koszar, minął za frontem 3 dywizje i w swoim, na końcu oddziałów stojącym, plutonie stanął w szeregu na dawnem swem miejscu.

Wł. G.

Rogate dusze

Długie lata panowania Kazimierza Jagiellończyka dobiegały kresu, pokrywane zmierzchem zapadającego w przeszłość XV. w., wśród którego budził się już dziejowej. W tym czasie ziemia sanocka, przełom, zapowiadający świt nowej epoki dziejowej. W tym czasie ziemia sanocka, zajęta przez liczne gniazda szlacheckie, osiadłe na łanach, wyłaniających się powoli z dziewiczych borów i ostępów puszcz, przejęta coraz żywszym nurtem swojskiej i obcej imigracji szlacheckiej — pełna nieraz tatarskiej „trwogi", po długich latach względnego pokoju, nagle pod koniec drugiej połowy XV. w. rozbrzmiała szeroko rozgwarem licznych zatargów zbrojnych, które współczesne źródła określają wprost mianem „domowej wojny".

Zamieszki i niepokoje, wszczynane przez liczną szlachtę, zawieruszyły ziemię sanocką na długie lata, a „dissensiones et bella" w postaci zbrojnych najazdów i zajazdów stały się niemal zagadnieniem dnia. Prof. Dr. Przemysław Dąbkowski w swem cennem studjum: „Ziemia sanocka w XV. w." podnosi niezwykły popęd do procesowania się jako jedną z wybitnych cech ówczesnego społeczeństwa szlacheckiego na terenie sanockiej ziemi. Spory sądowe wypełniają niemal przeważną część życia tej szlachty, a przeciągając się nieraz latami, budzą sporo sposobności do zbaczania z tej długiej drogi prawnej na przeważnie nocne manowce i bezdroża zbrojnych najazdów w sporze o skibę, podział majątku, zbiegłych kmieci i t. d.

„PRAWEM I MIECZEM"

Na tem tle była ziemia sanocka w drugiej połowie XV. w. terenem licznych zajazdów, najczęściej sąsiedzkich, które w wartkim prądzie ówczesnego życia stały się zwyczajnym obyczajem, to też nic dziwnego, że wśród takiego stanu rzeczy, gdy omijano „prawo", a zbaczano na „lewo" — wytworzył się w ziemi sanockiej nawet specjalny typ kondotierów, niby wzorowanych na bujnych swych wzorach włoskich, używających swej niezawodnej szabli i awanturniczego doświadczenia, na usługi zabiegających o ich względy szlachty.

A le z ogólnych rozważań przejdźmy na teren sanockiej ziemi, pomiędzy dwory i dworki szlacheckie, nieraz nakształt obronnych zamków rozbudowane, pomiędzy szlachtę, którą temperament ponosi i wiedzie do zbrojnych, nieraz krwawych zatargów, tworzących jakby wojnę w pokoju, gdy na szalę procesów rzucą swe szablice „rogate dusze".

„Hic mulier"

Jedną z charakterystycznych postaci na tej ziemi jest w tym czasie kobieta, znana nietylko w swej posiadłości w Górkach, ale i w całej, o dalekim promieniu, okolicy ze swej manji procesowania się, które stało się jakgdyby drugą jej naturą. Prowadzi rozliczne procesy, krótkotrwałe i długoletnie, z terminu jedzie na termin, stacza procesowe boje nieraz o błahostkę. Jest nią JM. pani Anna, primo voto Górecka, secundo Marcinowa Staniszowska... „hic mulier"...

MĄŻ NA WOŁOSKIEJ WOJNIE, A ŻONA ..WYCHODZI ZA MĄŻ!

Pierwszy mąż pani Anny, Jakób Górecki, dziedzic na Górkach, gdy wymagała „wojenna potrzeba", podążył na daleką obczyznę, wyruszywszy na wyprawę wołoską. Minął rok od jego wyjazdu, minął drugi. Wieść żadna o jego losach wojennych nie dociera do komnat dworu w Górkach. Może na dalekiej ziemi obcej położył swą głowę, może w niewoli pędzi twarde życie w jakiej podziemnej kazamacie — nie wiedzieć. — Pani Anna oczekiwała powrotu męża, — upłynęły już dwa lata i w tem próżnem oczekiwaniu nie roniła chyba łez, gdy no upływie tego czasu, sprzykrzywszy sobie samotne życie w komnatach dworu w Górkach... wyszła za mąż za Marcina Staniszowskiego i z pani Jakóbowej Góreckiej została Marcinową Staniszowską.

SZWAGIER W ROLI MŚCICIELA

I wówczas w roli mściciela występuje przeciw bratowej, rodzony brat Jakóba Góreckiego, Rafał z Humnisk Humnicki, burgrabia krakowski. Unika rozprawy sądowej i czego nie chce dochodzić „prawem" — dochodzi „lewem", „non iure, sed gladio". Organizuje tedy zbrojny zajazd na dwór bratowej, o czem później w dniu 1 lipca 1499 szeroko przed sądem rozwodzi się jej zastępca prawny: jako Rafał z Humnisk z dwudziestu sobie podobnymi i tyluż poddanymi najechał dwór w Górkach, na którym Anna miała oprawę, zapisaną jej ongiś przez pierwszego męża, gwałtownie porozbijał bramę, a wtargnąwszy do dworu, w którym ona mieszkała, zabrał jej szaty, a wyłamawszy rygle w skrzyniach, zagarnął złoto, srebro, naszyjniki, szlachetne kamienie i wiele innych drogocennych rzeczy, a po odrzuceniu napastników w stronę stajen, uprowadził konie, skutkiem czego pani Anna poniosła szkodę w wysokości 120 grzywien.

I na tle tego zbrojnego zajazdu na dwór w Górkach rozpoczyna się długa serja procesów, wytoczonych przez Annę burgrabiemu Rafałowi z Humnisk. Oskarżony przed sądem starościńskim zarzuca jego niekompetencję i żąda skierowania sprawy do sądu ziemskiego.

— „Tam bowiem — mówi — jestem obowiązany prawnie odpowiadać, w prawie ziemskiem odpowiem!"...

Spór przeciągał się przez długi czas, odraczany z terminu na termin, wciąż w księgach sądowych notowane są nowe pozwy i nowe terminy. Spór załagodzony został wreszcie za wdaniem się w sprawę Jana Amora z Tarnowa, kasztelana krakowskiego oraz Michała Kamienieckiego, sanockiego starosty w dniu 5 lipca 1500 r., zatem w rok po zajeździe, przyczem uwieńczeniem tej pośredniczącej akcji jest oświadczenie „że w porozumieniu, które ze sobą zawierają, wszystko, co się w niem mieści, ma być obowiązujące" pod wadjum 200 grzywien.

W wirze tej walki z Rafałem Humnickim pani Anna przeżywała jeszcze inne, niewątpliwie dla siebie przykre chwile. Oto

synowie wytaczają matce pozew,

aby przed sądem przedstawiła piśmienne dowody na zapisane jej w Górkach wiano. Jan i Maciej, dziedzice na Birczy, synowie Anny, powołują matkę przed sąd a ta broni się zapamiętale i wywodzi, że posiada odpowiednie dokumenty w Krakowie, że w tej chwili nie może ich przedstawić i obiecuje to uczynić na najbliższym terminie. Otrzymuje zwłokę do czteru tygodni i procesuje się z synami dalej, a gdy w terminie jakoś nie może przedstawić żądanych przez synów dokumentów, dziedzice na Birczy, nowe przeciw niej wytaczają pozwy.

I procesuje się dalej, na lewo i prawo, z synami i z sąsiadami, z Klemensem z Pakoszówki, sędzią ziemskim i z Zygmuntem z Dydni. I w tym ostatnim wypadku nieodzownym fragmentem na odcinku spornym był zbrojny zajazd Zygmunta Dydyńskiego na Górki, nie pierwszy zresztą i nie ostatni atak sąsiedzki na dobra pani Anny. Wodzi go znowu po kilku terminach i wreszcie po roku 1502 znika jej nazwisko z ksiąg sanockich. Czy zaprzestała tak nagle procesomanji, czy skłoniła swą skołataną takiemi przejściami głowę na wieczny spoczynek — milczą księgi.

•

Szerokiem echem rozbrzmiewał po całej sanockiej ziemi głośny w r. 1483

zbrojny zajazd w Łohaczowej Woli

W tym zbrojnym zatargu stanęli przeciw sobie dwaj dziedzice: Mikołaj z Siemuszowy, podsędek ziemi sanockiej, zatem już z racji swej godności powołany do wytoczenia sprawy przed sądem oraz Mikołaj z Tyrawy, w którym płynęła krew czeska, jak w kilku innych rodach sanockich, u Grabownickich, Ryterowskich, Bukowskich. W świetle rozprawy sądowej w dniu 20 października 1483, zarysowuje się na tle zresztą bliżej nieznanych nieporozumień między Tyraskim, a Siemiuszowskim przebieg owego zajazdu podsędka sanockiego na Tyrawę.

Pan na Tyrawie wytacza przeciw niemu skargę, iż w towarzystwie 30 sobie podobnych i 60 poddanych, którzy w skardze nazwani są „sgolotami" najechał jego dobra w pełnem uzbrojeniu wojennem, wyrzucił kmieci z zagród, cztery zagrody zniszczył czyli „roschmyothal", gwałtownym wypadem w ruinę obrócił pałac, w którym porozrzucał piece, co widział na miejscu woźny sądowy, który stwierdził, iż dokonane tam wtedy zostały „gwałty, niszczenia" inaczej „roschmyothanye i spustoszenya".

•

Szczególnie krytycznym był w tej mierze r. 1481.

W roku tym dokonany był zbrojny napad na Dynów, tak niezwykły, iż tkwiły w nim już jakby znamiona „domowej wojny". Stanęli przeciw sobie oko w oko przedstawiciele dwu wybitnych rodów ziemiańskich sanockiej ziemi, Andrzej Kmita z Wiśnicza i Jan z Dynowa. Zatarg ten przybrał tak jaskrawe rozmiary, iż starosta sanocki, Stanisław Pieniążek ustanowił pomiędzy zaciętymi przeciwnikami wysokie wadjum w kwocie 2000 grzywien, spowodu owych „dissensiones et bella inconsueta".

Zastępca prawny Jana z Dynowa, Stefan Mydłowski w cytacji swej 28 sierpnia 1481 szczegółowo przedstawia ów zbrojny najazd Kmity na Dynów. Najechał on dwór dynowski wraz z 60 klejnotowymi towarzyszami, wlodąc ze sobą setkę poddanych, któreto cyfra zbrojnych wskazywała najlepiej na rozmiary zajazdu. Wiódł ten zbrojny zastęp Andrzej Kmita, który zaatakował najpierw w pałacu swego przeciwnika gradem obelżywych słów i pogróżek, poczem zniszczył umocnienia przedmiejskie t. zw. „kobylenye", porozrzucał płoty, porozpędzał i poranił poddanych, co stwierdził sakramentalny w takich wypadkach woźny sanocki. I nie ten jeden zajazd uderzył o Dynów. W formalną wojnę domową przemieniły się znów zatargi Jana z Dynowa w r. 1493 z trzema braśmi, dziedzicami na Dydni, Janem, Zygmuntem i Stanisławem. Znów akt sądowy nazywa ów zatarg mianem „dissensiones et bella.., a starosta sanocki nakłada między strony wadjum, w kwocie 400 grzywien. Zniknęła wreszcie tamta, znów nowa wyłania się wojna, w tym wypadku Jan z Dynowa w rok później prowadzi ją ze Stanisławem Nabrzuszkiem, dziedzicem na Dąbrówce.

Podaliśmy tylko wiązankę wydarzeń, których pozatem jest w omawianym czasie w sanockiej ziemi bez liku. Cechą ich charakterystyczną jest to, iż szlachta sanockiej ziemi w rozlicznych swych zatargach pomija najczęściej sądowe drogi dochodzenia swych spraw i sama najczęściej zbrojnie, napadami i najazdami wymierza sobie doraźną „sprawiedliwość". „Dissensiones et bella" są też na tym terenie w drugiej połowie XV. w. nader częstem zjawiskiem.

A. M.

Literaci - słuchowiska - krytyka

Wynik ostatniego konkursu Teatru Wyobraźni był dla wielu niespodzianką. Wśród odznaczonych autorów słuchowisk nie było ani jednego o nazwisku głośnem w literaturze. Czyżby pisarze nasi stronili od radja? Dlaczego nie nęci ich praca nad rozwojem słuchowisk, tej młodej formy twórczości artystycznej, zapowiadającej tak szerokie możliwości?

Sprawa ta aktualna jest nietylko u nas. Podobne zjawisko zaobserwowano i zagranicą. Ciekawe uwagi na ten temat wypowiada w jednem z czasopism wiedeńskich młody literat Fred Hernfeld, autor szeregu słuchowisk, które cieszyły się w Austrji dużem powodzeniem i nadawane były przez kilka radjostacyj zagranicznych.

„W słuchowisku — oświadcza on — wszystko jest jeszcze problemem. Prawdziwych pisarzy, tworzących słuchowiska policzyć można na palcach. I to nietylko w Austrji, ale w całej Europie. Starzy, słynni dramaturgowie mają słaby kontakt z radjem, a działalność ich na tem polu ogranicza się w istocie do tego, że opracowują, lub polecają opracowywać dla radja swoje sztuki teatralne. Ale zradjofonizowana sztuka teatralna nigdy prawdziwem słuchowiskiem nię będzie. Młodzi, nieznani jeszcze literaci szukali początkowo w radjofonji nie nowej formy twórczości, tecz nowego gruntu finansowego. Podchodzili do słuchowiska bez wszelkiej znajomości rzeczy, bez jakiegokolwiek zasięgnięcia informacyj. Nie wiedzą o tem, że „głośnik — jak powiedział Fr. J. Engels — to instrument" i że ten, kto grać chce na instrumencie, musi opanować jego styl, to i specjalne właściwości. „Artysta", któryby fortepianową sonatę Mozarta wykonać chciał na trąbie, słusznie nazwany zostałby ignorantem. Radja też nadużywać nie wolno jego poetom".

F. Hernfeld stwierdza wielką rolę, jaką odgrywa dziś radjo: „nietylko poeta, ale wogóle każdy artysta zająć musi wobec radja określone stanowisko, nie można nad tem przechodzić do porządku dziennego. Radjo stwarza nam największą, w teorji najzupełniej nieograniczoną widownię, jednak z drugiej strony pozbawia bezpośredniego kontaktu z publicznością". Młody pisarz podkreśla tu jedną z zasadniczych różnic między teatrem, a teatrem wyobraźni: „nie widzimy naszego słuchacza, nie wiemy, jaki efekt wywołało nie codopiero wypowiedziane słowo, nie wiemy, czy słuchacz zdołał je zrozumieć. Ten to właśnie bezpośredni, żywy kontakt, nie da się zastąpić najbardziej udoskonaloną mechaniką".

W związku z problemem słuchowisk porusza wiedeński literat sprawę krytyki radjowej. Krytyka taka istnieje wprawdzie w Austrji w kilku pismach, ale wygląda to w ten sposób, że „jakie trzy tygodnie po audycji pojawia się o niej w dzienniku pięć wierszy drobnego druku". Czytelnik nawet nie czyta tego, bo i poco? Aby się dowiedzieć, że przed trzema tygodniami nadano piękne słuchowisko, o którem usłyszy znów może za trzy lata, a może nigdy?"

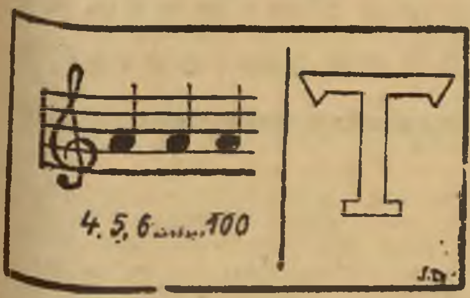
Z zadowoleniem stwierdzić można, że w Polsce stosunki pod tym względem przedstawiają się lepiej niż w Austrji. Prasa poświęca u nas stosunkowo wiele miejsca rzeczowej krytyce radjowej, przyczyniając się do usunięcia niejednego błędu, budząc wśród szerokich sfer żywe zainteresowanie sprawami radia i wskazując radjofonji nowe drogi.

—x—

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Rebusik

(ułożył „John Ly")



Rozwiązanie jednowyrazowe.

* * *

Cykl szaradowy: „Kobieta"

(Napisał „John Ly").

10. Szarada.

Niech już uprawia, co chce: wolną miłość,
sztukę, okultyzm!... Niech marnie gra w karty,
(brydż lub **raz** — **czwarty!**) — cierpi na otyłości,
pali „wirginja", spija **drugi** — **czwarty!**
Niech będzie cienka — niczem **trzecia** — **piąta...**
Niech rzuca dyskiem, niech hoduje koty,
niech codzień na noc skręca papiloty!
Niech naigrawa się z „Rozrywek kąta"!
Niechby na rautach galowych spiewała —
niech — —! Byle tylko nie była ach! **cała!**
Zimne **raz** — **trzecie** uderzają na mnie,
gdyby wejść miała taka w moje życie.
(To, że szaradę piszę o tej damie,
to odchoruję pewnie... Zobaczycie!)

11. SZARADA.

Są o kobiecie różne **raz** — **ósme**, legendy,
w których się ją ogląda tędy i wszędy.
Oddawna się socjolog **siedem** — **cztery** nad tem,
jaką rolę jej przydać za życia warsztatem.
A w powszechnej, światowej dzisiaj **siódmej** — **trzeciej**
tem mocniej się ów problem uwypukla w świecie.
Ot naprzykład: spór o to toczy się dość duży,
czy **szóste** — **siódme** — **ósme** mają w wojsku służyć.
Ale wieki mijają i **jeden** — **pięć** nowe,
a zawsze w jednem wielkie będą białogłowe:
raz — **druga** ich **trzy** — **czwartą** i **piątą** bezsporną
na Kubie, Filipinach, w Omsku i Livorno.
I dobrze jest z tem wszystkim — nie tylko poetom!
Dla tej prawdy kobiecie warto być... kobietą.

* * *

Szarada

(napisała Hel. Mokrzycka, Drohobycz)

Wiosna już blisko, słońce blaski sieje,
całe, do morskich zdążają topieli.
Znikły zimowe szarugi, zawieje,
śnieg jeszcze tylko górskie szczyty bieli.
Zima zaledwie **pięć-drugie** powoli,
czwarte i **trzecie** stanęły u pługa,
skibę po skibie krają czarnej roli,
praca to ciężka, męcząca i długa.
Co mrozy **dwa-trzy** lodem, haftowały,
wiosenne wiatry spruły, potargały.
Gdzie się człek **pierwsze** i **drugie**, gdzie zwróci,
widzi zwiastuny nadchodzącej wiosny:
kwitną krokusy, skowronek już nuci,
śmiech, jazgot dziatwy rozbrzmiewa radosny.
Pierwsze i **drugie** oraz **trzy** potoki
ze stromych stoków kaskadą spadają,
słońce skruszyło kry, lodowe bloki,
więc **czwarte-piąte** swobodnie igrają.

* * *

Figielki

(ul. M. A. z Del.)

Wstaw zaimek między bogów,
ma pazury — brak jej rogów...

*

Wspak pogłoska — przy niej ściana,
to: małpeczka w Indjach znana.

*

Przed spółgłoską nuta wspak,
to nie zwierzę — ale ptak.

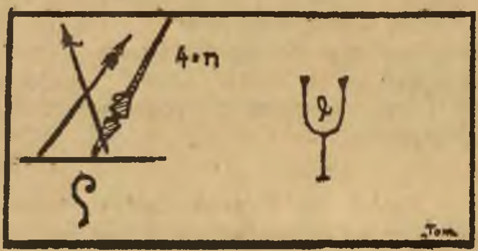
*

Gdy przysłówek przy roślinie,
w leśnej znajdziesz go gęstwinie.

* * *

Rebusik

(ułożył „Tom" Rzeszów)



* * *

Arytmograf „zoologiczny"

(ułożyła „Arja")

1, 2, 4, 5 = czworonogi drapieżca.
6, 2, 3, 8 = krewny poprzedniego.
8, 5, 7, 6 = zwierzę domowe.
5, 7, 9 = dtto.
1, 2, 3, 4, 5, 2, 6, 7, 8, 9 = ?

*

Szarada

(ul. A. S.)

Jeśli „**pięć**" komu „**pierwsze-drugie-trzecie**"
można być pewnym, że się tem obrazi,
bo każdy człowiek „**czwór**" to w sobie przecie,
że niepochlebne słóweczko go razi.
Lecz „**czwarty-piąty**" nieczuły jest na to,
„**czwór-trzeci**" człowiek nic go nie obchodzi;
mógłby „**pięć**" chyba: Czekajcie na lato,
niech wam kaprysy moje wynagrodzi.
Jam jest „**dwa-piąty**" i wiem, jak potrzeba,
niczem są dla mnie wasze dąsy małe —
wolno wam jednak wnieść protest do nieba.
zresztą, już prędko zakończy się „**całe**".

*

Termin nadsyłania rozwiązań: **środa 27 marca br.**. Nagroda do rozlosowania: interesująca powieść.

*

Rozwiązania z nr. 61

Konikówka - zagadka:

Gdy słynny pisarz skonsumuje,
ujrzycie, co on komponuje (Poe-zje).

Szarada 8: Kobieta wysportowana.

Szarada (p. Junonie): Łaskawa ocenicielka.

Łamigłówka: czytając kolejno **piąte** litery poszczególnych wyrazów od góry ku dołowi, oraz **trzecie** litery w przeciwnym kierunku, otrzymamy: Tłusty wtorek.

rudycja, cudzoziemiec, tobołek. nahajka,

Łamigłówka: Comber, wszechnica, ejęczmień, Zygmunt, kurdyban = Co w sercu to na języku.

Szaradki: Wagabunda, Fatałaszki.

*

Rozwiązania nadesłali

ze Lwowa pp. Wład. G., Ad. Rogozińska, Arja, Biały Ceś, Wanda Wolańska, Andulka, Józ. Koberwein, J. Kwiczoł, Ir-ka, M. Szydłowska, Hel. Kowalska, Tad. Wilczyński, A. Sołtysikowa, R. Wit. Br. Ostrowski, M. Łesiuk, Fr. Goldowa, Sigma, Roman H., M. Ruxerówna, Tato Krzysia, E. Boczarska, Eug. Dworski, Wanda Smolicka.

z Warszawy pp. J. Alis B. Bieńkowski, L. Ciesielski, Z. Garliński, J. Gill, J. Gilewicz, „Junona", R. Klimczak, Cz. Kozłowski. N. Sławnicki, inż. Z. Słowikowski, „Trzynastka", W. Ustaszewski, M. Wysocka, H. Silczyński, W. Nowicki.

z prowincji pp. Irena Wilkowa (Rzeszów) „Tom" (Rzeszów), Irena Senze (Żychlin), Tad. Dworski (Sanok), Marja Potocka (Sanoczek), Kazimierz Jurkiewicz (Śniatyn), M. Kański (Kraków), M. Alexandrowicz (Delatyn), T. Żeglicki (Dębica), ks. Józef Welc (Kraków), E. A. (Otynja), H. Mokrzycka (Drohobycz).



Nagrodę uzyskał p. **Roman H. we Lwowie**, którego prosimy o zgłoszenie się w naszym kantorze.

*

ODPOWIEDZI REDAKCJI

M. A. Dziękujemy i prosimy nadal o pamięć.

A. S. Zawsze chętnie przyjmujemy. Co do eliminatki, prosimy wczytać się uważnie w objaśnienia. Nie taki djabeł straszny...

T. Ż. Uwagi rzeczowe i słuszne. W rebusie znaczenie właściwe „om", a nie „omega". W łamigłówce zawinił zecer, opuszczając dwie zgłoski.

Tato Krzysia. Rozwiązanie Konikówki mylne. Nie myśleliśmy o podobnem „konsumowaniu", zwłaszcza u... Atlasa!

Józ. K. Rozwiązań niestety nie otrzymaliśmy, zaginęły widocznie w kantorze. Będziemy odtąd więcej uważać.

SALON SZTUKI

obecnie Lwów, **Pasaż Mikolascha**



okazyjnie: Salon empire, pokój kombinowany, garnitur klub., tapczany, dywany perskie, kilimy i wiele innych przedmiotów — tanio 1826

ŚCISŁOŚĆ. — Myśl o pani jest wieczorem, moją pierwszą, a rankiem moją ostatnią myślą...

— Chyba pan chciał powiedzieć odwrotnie...

— Nie! Ja mam teraz pracę nocną.

BOLESŁAW EUSTACHIEWICZ. 4

Trzy siły

— Wycyrklować! — zakomenderował znowu Kowadełko.

Kiedy i tę czynność ukończono, nastąpił akt połączenia koliska z motorem. Z zapartym tchem czekano na ruch potwora.

Nie trwało to długo.

Koło drgnęło i z początku obracało się majestatycznie. Z sekundy jednak na sekundę obroty się zwiększały, aż wreszcie tylko jedna jasna smuga zajaśniała w powietrzu.

Dzwoniąc cichą melodję samouwielbienia — koło wirowało.

Obsługa dopiero teraz odetchnęła i obtarła pot z czoła.

W hali czuło się, że nastąpiło jawieś wypełnienie, że przybyło dzieło rąk i myśli ludzkich, które w normalny, przeciętny tok pracy wprowadziło nowy rzadki czynnik: podziw, graniczący z szacunkiem, a nawet ze strachem.

Takie zapewne uczucie mieli dawni poddani wobec swego władcy, tyrana.

Człowiek nieznacznie stawał się niewolnikiem swego dzieła...

W tym czasie, kiedy maszyny równo pracowały, a ich wibrowanie harmonijną muzyką wypełniało całą halę, inżynier Sprężyna na posiedzeniu Rady miejskiej sypał cyframi, obliczeniami jak młynarz ziarnem na kamień.

Tu kamieniem były łby radzieckie, które mełły i mełły z trudem to wszystko, co Sprężyna sypał i sypał.

— Koszt elektrowni, po zmontowaniu ostatniego motoru, wraz z kołem rozpędowem, wyniesie ostatecznie dwa miljony złotych. Biorąc pod uwagę, że miasto nasze posiada sześć tysięcy domów, które zaprowadzą u siebie instalację i tem samem zużyją prądu... — mówił płynnie Sprężyna, co chwila posługując się wykresami i tablicami. Swoje wywody przeplatał porównaniami i sukcesami innych miast. Kiedy skończył, rozległy się oklaski przekonanych, u drugich zarysowała się niechęć i wyraźna opozycja.

Zgłosili się mowcy do głosu.

Przewodniczący zarządził przerwę kilkuminutową.

Wskazówki na zegarze zbliżały się do godziny ósmej. Wzrokiem zawisał na nich i z zapartym oddechem śledził ich przemierzanie czasu. Na trzy minuty przed ósmą nachylił się do przewodniczącego i zamienił z nim parę słów.

Przewodniczący, wyraźnie poruszony, zabrał natychmiast głos.

— Panowie radni. Zanim przystąpimy do dalszych obrad — proszę na taras ratusza.

Radni mocno zdziwieni, szybko zapełnili obszerny taras, skąd roztaczał się szeroki widok na całe niemal miasto.

Radni ciekawie rozglądali się wokół.

Miasto zanurzało się powoli w ciemność, która gęstniała.

Sprężyna, który stał z zegarkiem w ręku, nagle zawołał wzruszony.

— Panowie, za chwilę ujrzycie cud ludzkiego genjuszu, który naśladuje owo boskie: „Niech się stanie światło".

W tym momencie zegar wieżowy jął wydzwaniać godzinę ósmą i równocześnie wokół miasta rozkwitły światła.

Na tarasie posiała się cisza.

Wszyscy byli jakby od ziemi oderwani, jakby oni sami byli płonącemi hen, tam w oddali, lampami. Gdzieś dobiegł szum głosów ludzkich.

Pierwszy ocknął się prezes Rady. Podszedł spiesznie do Sprężyny.

— W imieniu Rady dziękuję panu za trud i za dzisiejszą chwilę, która pozostanie dla wielu niezapomnianą. Proszę również w imieniu radnych podziękować swoim ludziom, o których zresztą wydział finansowy nie zapomni.

Kolejno ściskali radni dłoń inżyniera. Opozycja pierwsza gratulowała. Czyn pozytywny najlepiej przemówił za siebie.

W tym czasie w hali maszyn odbywały się zwyczajne czynności.

Majster Kowadełko w myśl instrukcji Sprężyny, po uruchomieniu olbrzyma, czekał na godzinę ósmą. Z wybiciem ostatniej liczby przesunął na opornicy załącznik i dalej obchodził czujnie maszyny i motory.

Najdłużej zatrzymywał się przy stalowym gigancie i wysłuchiwał rytmu jego biegu i wibracji.

Z badania był zadowolony.

Olbrzym pracował nienagannie.

Kowadełko pomyślał o odpoczynku. Czekał tylko na inżyniera.

Zbliżała się już godzina dziesiąta, kiedy przyszedł Sprężyna na kontrolę.

— Jak tam „zamachówka"?

— Chodzi jak koń w cyrku.

— Panie Kowadełko, należy się nam odpoczynek. Rzetelnie zasłużyliśmy na to. Łeb mnie z bolu pęka. Jutro pogadamy. Szczęść Boże!

Szczęść Boże!

Sprężyna mieszkał niedaleko elektrowni. Wybrał takie mieszkanie, aby być w pobliżu swego dzieła. Kowadełko natomiast zajmował mieszkanie w obrębie zabudowań elektrowni. Po odejściu inżyniera i po wydaniu poleceń zastępcy, udał się wreszcie na dobrze zasłużony odpoczynek.

Niedługo pogasły światła w domu i tylko jasno oświetlona hala maszyn zdawała się unosić na falach ciemności jak tajemniczy okręt o rozpiętych żaglach okien. W sąsiedniej willi inżynier Sprężyna spać jednak nie mógł. Pomimo niedyspozycji, zabrał się do kosztorysów. Robota, rzecz naturalna, nie szła. Wstał więc i podszedł do okna. Wpatrzony w oświetloną w dali halę, uspokajał się dziwnie — widok ten koił mu nerwy, a myśli o skończonem właśnie dziele napawały go dumą. Długi czas stał tak przy oknie.

(C. d. n.)

Wolnoć Tomku...

(humoreska radjowa)

Pana Filipa spotkała przykra niespodzianka. Został poprostu zredukowany. I to akurat 1 maja, w dzień jego patrona! Liczył sobie zaledwie 40 wiosen i czuł się rzeźkim, pełnym inicjatywy i chęci do pracy. Ale cóż robić: firma, w której pracował, zmuszoną była przeprowadzić znaczne redukcje swego, zbyt licznego, personalu. I pan Filip znalazł się na czarnej liście.

Pierwszego maja przybył rano do biura, zainkasować swą ostatnią — niestety — pensję.

Tutaj czekała go druga, tym razem milsza, niespodzianka: personal zebrany w komplecie, nastrój wyjątkowo uroczysty, twarze życzliwe...

Imieniem zebranych przemawia naczelny kasjer: korzystają oto z podwójnej sposobności, by pożegnać się ze swym dawnym kolegą, a równocześnie, na pamiątkę, w dzień imienin, wręczają mu „skromny upominek". Rozczulony pan Filip dziękuje, rozdając na prawo i lewo uściski rąk.

Ale ciekawość przemogła: intryguje go ta duża, starannie owinięta paczka. Więc po paru minutach rozmowy rozwija ją. Wewnątrz — kompletny aparat radjowy, pierwszorzędnej marki.

— Odbiera wszystkie stacje europejskie, — objaśniają go koledzy.

— Będziesz miał teraz dużo czasu do słuchania, — zauważa z lekkim odcieniem współczucia kasjer, jego najlepszy kolega...

*

Koledzy dobrze utrafili. Pan Filip był wielkim amatorem radja. Ale dotąd nie miał poprostu czasu, by się niem delektować. W biurze pracował ośm godzin, potem obiadek, potem kawiarnia, gazety, brydż... i tak jakoś czas schodził. Radja słuchał zwykle w niedziele i święta, u swych znajomych.

Toteż obecnie postanowił powetować sobie czas stracony. Był przecież wolny, posiadał, niewielki coprawda mająteczek (znalazła się poczciwa ciotka, która zapisała piętrową kamieniczkę swemu jedynemu siostrzeńcowi), był kawalerem...

Po paru dniach radjo stało się jego kochanką. Wstawał rano, o ósmej nastawiał aparat i słuchał, słuchał bez końca. Przez otwarte na oścież okna jego kawalerskiego mieszkania płynęły upajające wonie z ogrodu. Pachniały bzy i jaśminy, rozsnuwała wieczorem swą kuszącą, miodną woń maciejka. Piękne było życie!...

Po paru tygodniach pierwotna, namiętna pasja przeszła w nałóg. Właściwie Filip już zaczął odczuwać pewien przesyt jak chłopak z cukierni, któremu przejadły się najlepsze nawet ciastka.

Ale był konsekwentnym. Był człowiekiem zasad. Więc z regularnością automatu nastawiał od rana aparat, „aby tradycji stało się zadość", jak mówił... W gruncie rzeczy jednak już go to zaczynało nudzić.

*

Pewnego dnia do drzwi mieszkania pana Filipa zapukał jego sąsiad.

— Ja tu właściwie z maleńkim interesem do kochanego sąsiada.

— O cóż chodzi?

— Oto widzi pan, chcielibyśmy odkupić od pana ten oto aparacik.

— Ależ ja wcale nie myślę go sprzedawać, — zaprotestował pan Filip. — Tak się z nim już zżyłem...

— Otóż to właśnie! To źle! Aparacik, jak widzę, starej konstrukcji... Wartoby pomyśleć o nowym, silniejszym...

— Hm, może to i racja. To prawda, aparat zaledwie trzylampowy...

— A widzi pan, kochany sąsiedzie! Pozbędzie się pan starego grata, a kupi pan sobie jakiś wspaniały ultra-ultra-odbiornik na 5 czy 6 lampek. A nam zrobi pan wielką grzeczność. Nie stać nas na kupienie nowego... a tutaj, tak po sąsiedzku, jakoś dojdziemy do porozumienia.

Targ w targ, aż ostatecznie aparat, za cenę stu złotych, przeszedł w rece nowego właściciela.

*

Pan Filip szczerze był zdecydowany kupić silniejszy aparat. Ale jakoś się z tem nie śpieszył. Zwłaszcza, że właściwie... nie wiele się zmieniło.

Sąsiad jego taksamo nastawiał aparat od wczesnego ranka — i taksamo z otwartego okna płynęły znane dźwięki przez dzień cały, mile łaskocząc uszy pana Filipa. Nie potrzebował sam trudzić się codziennie nastawianiem i zamykaniem aparatu, nie potrzebował myśleć o ładowaniu akumulatorów.

„Jego" aparat grał przez dzień cały. Płynęły z głośnika do pokoju p. Filipa dźwięki muzyki, słowa prelekcyj, komunikaty, recytacje... A pan Filip słuchał, rozpostarty wygodnie we fotelu.

Po tygodniu jednak miał już tego dosyć. Przecież przy tym nieustannym hałasie poprostu nawet gazety nie można spokojnie przeczytać, nawet listu napisać! Przecież to nie do zniesienia! Jak można być tak niedelikatnym i nastawiać aparat na pełny głośnik przy otwartem oknie!

Każdy dzień powiększał zdenerwowanie Filipa, który zaczął poprostu uciekać z domu, by nie słyszeć tego „przeklętego" radja! A radjo funkcjonowało bez przerwy: od ósmej rano do dziesiątej wieczór. I to okno, stale otwarte!

Wreszcie nie wytrzymał. Wykombinował sobie „genjalny" plan. Poszedł do sąsiada.

— Witam kochanego sąsiada! Cóż pana do nas sprowadza? Rzadki gość!

Pan Filip zerka wrogiem okiem na „swój" aparat.

— Kochany panie, możeby tak zamknąć aparat, przeszkadza nam w rozmowie.

— Ha, skoro pan sobie tego życzy... Choć przyznam się, że tak już do niego przywykłem...

Otóż to właśnie! A ja właśnie w sprawie tego aparatu... Panie sąsiedzie — wybuchnął nagle, — niech mi go pan odsprzeda!

— Co takiego? Bardzo żałuję, ale aparatu nie mam zamiaru sprzedawać.

— Niech mi go pan odsprzeda! — powtórzył niemal błagalnie Filip. — Zapłacę 150 złotych!

— Wykluczone.

— Dwieście złotych!?

— Przyznam się, że tego nie rozumiem. Za te pieniądze dostanie pan przecież lepszy aparat...

— Nie chcę lepszego, nie chcę innego? Ja muszę mieć ten aparat!

— Dlaczegoż to? Czyż nie wszystko jedno, jaki aparat grać panu będzie?

— Panie, kiedy mi właśnie o to chodzi, by ten aparat nie grał!

— ?

— Tak, proszę pana! Aby nie grał. Abym nie musiał od wczesnego rana do nocy słuchać tych wszystkich tang, walców, koncertów, komunikatów, które przez otwarte okno pańskiego mieszkania wpadają do mego pokoju, nie pozwalają zebrać myśli... To mnie denerwuje... doprowadza do rozpaczy.

— Więc to o to chodzi? — sąsiad uśmiechnął się złośliwie. — Otóż dziś mogę panu wyznać wszystko: w tej samej sytuacji byłem i ja z mą żoną. Całemi dniami zamęczał nas pan poprostu swojem radjem. Taksamo otwierał pan okno, taksamo — chcąc nie chcąc — słuchać musieliśmy tych wszystkich walców, koncertów, odczytów. Żona mi się poprostu rozchorowała. I wreszcie postanowiliśmy odkupić od pana aparat — i odpłacić panu pięknem za nadobne. Przekonał się pan, że radjo stać się może prawdziwą torturą... dla sąsiadów!

Pan Filip słuchał skruszony. Wreszcie wyciągnął rękę:

— Zróbmy zatem ugodę. Odkupię od pana ten aparat i przyrzekam solennie że ilekroć przyjdzie mi ochota go nastawić, zamknę okna.

— Zgoda, kochany sąsiedzie. Zwłaszcza, że owe sto złotych, które wydałem na kupno aparatu, to dla mnie bardzo poważny wydatek, na który zdecydowałem się z konieczności.

Pan Filip zabrał swój aparat spowrotem. Ale od tego czasu zamykał już stale okno, ilekroć nastawiał swój odbiornik...

Wytwórnia radjoaparatów
„EKRAVOX"
(dawniej Lwów, Lindego 10)
została
przeniesiona
1573 do nowego lokalu przy ul.
Akademickiej 11

„Goście na kopalni"

Wiara w Boskie miłosierdzie, opiekę, w wyższą sprawiedliwość, serdeczne przywiązanie do rodzinnej, ojczystej tradycji, to chyba dwie najcenniejsze *wartości*, które — jeśli zespolone w jednym człowieku — zdolne są cały świat przedstawić mu w innem, lepszem świetle. Jednak dziś powoli wychodzą z mody uczucia patrjotyczne, narodowe; a jeśli ktoś nieostrożnie przyzna się, że wierzy w Boską opatrzność to doprawdy w oczach innych ludzi uchodzi on za człowieka może miłego, ale o poglądach i przesądach datujących się z epoki przedlodowcowej. Tak! Tak! Wszelkie wyższe, szlachetniejsze idee stają się niemodne. I pewne jednostki utrzymują iż jest to słusznem: bo np. jak trudno zrozumiałem jest dla „pewnych jednostek" pojęcie własnej, narodowej Ojczyzny! Zato świetnieby się czuli w jakiemś komunistycznem „między" — czy „nad - państwie".

Na szczęście u nas te bardzo „modernistyczne" prądy szerzą się dosyć *powoli*, nie ciążąc zbytnio na przejawach życia psychicznego narodu. Dowodem tego to nagrodzenie na „konkursie słuchowiskowym" Polskiego Radja, słuchowiska o tendencjach wybitnie przeciwnych podobnym, komunizującym poglądom. Słuchowisko to pt. *„Goście na kopalni"* — którego autorem jest *Andrzej Sowa*, zostało zakwalifikowane do trzeciej nagrody. Treść jego, to ciężkie, groźne, szare życie na obczyźnie polskiego górnika, to wynaradawianie jego dzieci, to szykany i represje moralne. Treść jego to odkryte kulisy poczynań wielkich koncernów ich kierowników bez czci i sumienia, właścicieli kopalń kupujących za pracę — *dusze ludzkie*. Jak dziwnie zgodnie biegły obok siebie — te dwa wątki jak silnie przemawiały do słuchaczy proste, szorstkie słowa *polskich górników*, wymawiane na tle rozgrywających się spekulacyj *międzynarodowego* kapitału. Ileż wewnętrznego spokoju siły, wiary zamknął autor w tę dzielną żonę górnika, wysyłającą go po pracę z przestrogą, by nawet za tę cenę *nie sprzedał* obcym swego dziecka. Jej gorąca wiara w opatrzność Boską — tak właściwa ludziom niższych stanów — jej pogodzenie się z losem, z ciężkim losem bezrobotnych, jej poczucie przynależności do oddalonej Ojczyzny, jest oparte na tych pierwiastkach, które *głęboko tkwią* w sercach polskiego ludu. Te szlachetne pierwiastki w słuchowisku tem zostały wydobyte i tak pięknie uzmysłowione, jak rzadko się trafia. Utwór *„Goście na kopalni"* tchnął tężyzną duchową, narodową, zaufaniem we własne siły i wysiłki, a końcowy akord wiary w Boską pomoc, zamykał go w całość, której słuchało się z zadowoleniem *nie tylko* artystycztycznem.

* * *

„Zamek na Czorsztynie" to komedjo - opera Karola *Kurpińskiego* (1785—1857), swego czasu bardzo popularnego kompozytora. Operę tę „wystawiła" w swem studio rozgłośnia warszawska. Muzyka Kurpińskiego bardzo miła i łatwa dla ucha — nawet nie wprawnego — proste, dźwięczne melodje, pewna zwartość tekstu (opracowanego przez J. W. Krasińskiego) składały się na to, że w tej godzinnej audycji nie było czasu na nudzenie się, czy na chęć zamknięcia głośnika. Wręcz przeciwnie: słuchało się *„Zamku na Czorsztynie"* z prawdziwą przyjemnością, a nawet satysfakcją, że wreszcie następuje pewien zwrot w kierunku *wykorzystania* naszej własnej, narodowej twórczości. Nie mam bynajmniej pretensji do pisania recenzji muzycznej, chodzi mi jedynie o to by podkreślić, że takie audycje są chętnie słuchane przez ogół inteligencji, mającej z muzyką może nawet bardzo mało wspólnego.

Interesujący reportaż pt. *„Wśród najpiękniejszych koni w Polsce"* dadał przegląd historji i rozwoju państwowej stadniny, mieszczącej się w Janowie Podlaskim. Prócz dodatnich i istotnie ciekawych stron, reportaż ten miał i ciemniejszą, a nawet nudną dla kilkudziesięciu tysięcy słuchaczy, w danej chwili go słuchających: były nią osobiste refleksje i wynurzenia prelegenta na temat wdzięczności dla... *dwojga* osób. Wszelkie osobiste rozrachunki i zobowiązania, nie mogą być dopełnione wobec cierpliwych uszu setek radjosłuchaczy, których cudza — może nawet uzasadniona, ale *prywatna* — wdzięczność, nic a nic nie obchodzi. O tem powinni pamiętać wszyscy, stojący przed mikrofonem.

Ogromnie ciekawy temat *„Jak wyglądał dawny rynek lwowski"* omawiał inż. J. *Witwicki*. Wizja Lwowa sprzed 160-ciu laty, plastycznie odmalowana przez prelegenta, stawała przed oczyma słuchaczy. Krótki ten feljetonik miał tę wadę, że był... za krótki.

* * *

Część czwarta (i ostatnia) „Podróży tempomobilem w przeszłość" swym tytułem *„Kiedy babcia panną była"* wprowadza in medias res t. zn. w dom sprzed 60-ciu lat. Całość może trochę mniej efektowna od trzech pierwszych części, miała jednak wiele humoru i parę świetnych karykatur. W sumie — można się było jednak dobrze bawić, np. świetnym przepisem na ułożenie fryzury dorastającej panienki. Wykonanie b. dobre.

„Hallo! Tu ludożercy!" to wesoła audycja zdolna rozśmieszyć chćby zawodowego śledziennika. Bardzo dobra nie tylko w pomyśle, ale i w wykonaniu, była jednak bliższa i bardziej zrozumiała *lwowianom*, niż mieszkańcom innych miast.

r. R.

Nowoczesne
ODBIORNIKI
Głośniki i części radjowe
Najkorzystniej nabywa się w
TELE-RADJO
M. Kubiszyn i Ska
Lwów
1663 Chorążczyzna 7. tel. 5-23.

WŚRÓD WYDAWNICTW

Aleksander Olszakowski: Prawo do życia, powieść. (Wyd. „Powieść i życie", Warszawa, Dom Książki Polskiej). O to „prawo do życia" walczą młodzi prawnicy, inżynierowie, doktorowie filozofji, z których obecne ciężkie warunki życia zrobiły — wbrew ich woli — wykolejeńców życiowych, nie mających o co rąk zaczepić.

Nie giną jednak. Chwytają się pracy, nie odpowiadającej ani ich kwalifikacjom, — i ani wymaganiom i upodobaniom z próby tej wychodzą zwycięsko.

Wieje z powieści tej optymizm, który nakazuje autorowi ułatwiać sobie sytuacje, a idealizować swoich bohaterów. Powieść, choć nie posiada większej i trwałej wartości literackiej, stanowi miłą i zdrową lekturę, nie ustępującą w niczem dziesiątkom i setkom zagranicznych powieści tego typu.

STELLA OLGIERD: Znaki, powieść. (Wyd. Dom Książki Polskiej, Warszawa. Cena 2.25 zł).

Druga to powieść z zainicjowanego świeżo wydawnictwa „Powieść i życie". Lekka, niezbyt wartościowa lektura, o posmaku sensacji. Porusza w niej autorka zagadnienie „wędrówki dusz", tajemniczych przeczuć i znaków, — wróżb i zabobonów cygańskich, wszystko dość bezkrytycznie i płytko.

Powieść można przeczytać z pewnem zainteresowaniem, — ale odkłada się ją bez żalu i bez wrażenia.

Interpunkcja mocno szwankuje.

J. B. Kamil Corot

(W sześćdziesiątą rocznicę śmierci)

Niemało kłopotów mieli państwo Corot, właściciele doskonale prosperującego magazynu mód w Paryżu, ze swym synem Kamilem.

Chłopak zdolny, rozgarnięty, pracowity, uczył się coprawda nienajgorzej, — ale jakoś nie „wdał się“ w ojca, ani w dziadka. Nie okazywał zbytniego zamiłowania do stanu kupieckiego, do którego ojciec go przeznączył.

Po ukończeniu szkół idzie najpierw młody Kamil na praktykę do swego dalekiego krewnego, właściciela magazynu mód, — następnie dostaje się do pana Delalain, prowadzącego duży skład sukna pod pięknie brzmiącą firmą „Pod Kalifem z Bagdadu“. Ale pryncypał niewiele ma z niego pociechy: nie umie sprzedawać, nie potrafi wmówić w klienta, ani nakłonić go do kupna — wysortowanego towaru.



Camil Corot

Młody Kamil — o zgrozo! — chce zostać malarzem. Całe lata walczy o to z ojcem, który z lekceważeniem wyraża się o tym zawodzie. Wreszcie jednak ojciec ustępuje. Wyznacza mu roczną rentę 1.500 franków: „jeśli ci to wystarczy, to ostatecznie możesz się bawić tem tam malarstwem“ — oświadcza z pobłażliwością zamożnego, rozsądnego, a statecznego, kupca.

Skorzystał skwapliwie z tej oferty Kamil, — wówczas już 26-letni mężczyzna i rzucił się do pracy. Spieszy nad brzegi Sekwany i tam tworzy pierwsze swe dzieła, stając się przedmiotem zainteresowania i podziwu panienek z magazynu jego rodziców, wykradających się nieraz ze sklepu, by przyglądać się jego robocie.

Pierwszych fachowych wskazówek i rad udziela mu rówieśnik jego, A. Michallon, laureat „prix de Rome“ w r. 1817.

Ale Kamilowi to nie wystarcza. Pragnie koniecznie zobaczyć Włochy, nasycić oczy widokiem skarbów klasycznej sztuki. I tu znowu napotyka na silny opór ze strony ojca, przeciwnego podobnym „zbytkom“ i marnowaniu pieniędzy.

Ostatecznie jednak ojciec ustępuje: młody Corot wyjeżdża w roku 1825 do Rzymu, gdzie przepędza trzy lata, wiodąc prawdziwie „cygańskie życie“. Mieszka w skromnej izdebce, której całe umeblowanie stanowiły: kufer, parę słoików i kanapa.

Zawsze jednak wesoły i w dobrym humorze, nawiązuje znajomość z grupą artystów, schodzących się stale w traktorji „Pod zającem“ lub w historycznej „Café Greco“.

Włóczy się po Rzymie i całej Kampanji, maluje widoki, charakterystyczne typy ludowe, sceny uliczne. Z tego okresu datuje się jego widok Colosseum, w którym jest już cały przyszły mistrz przedziwnej harmonji barw i światła.

W roku 1827 wystawia w Salonie paryskim pierwsze swe dzieło „Le pont de Narni“.

Od tego czasu nazwisko Corota spotyka się coraz częściej i w Salonie i na łamach prasy. Tworzy ogromnie dużo; tematy czerpie zarówno z przyrody, jak z biblji i historji. Nie są to jednak rzeczy najlepsze: pod wpływem drugiej podróży do Włoch zaznacza się u niego nawrót do klasycyzmu, nacechowanego pewną konwencjonalną oschłością.

Wkrótce jednak odnajduje Corot swój właściwy styl, którego najpiękniejszym wyrazem jest „Wieczór“ (1839) oraz „Zachód słońca“ (1840). Następuje cały, długi szereg obrazów, przedewszystkiem widoków z natury. Wystawiony w roku 1846 „Las w Fontainebleau“ przynosi mu zaszczytne odznaczenie wstążeczką Legji Honorowej.

Nazwisko Corota staje się znanem, publiczność zaczyna kupować jego obrazy. Co za triumf dla artysty, którego rodzice uparcie uważali za kiepskiego dyletanta!

Obok swych ulubionych pejzaży maluje Corot obrazy treści religijnej, z których najpiękniejszym może jest „Chrzest Chrystusa“ (1843), znajdujący się w kościele św. Mikołaja du Chardonnet w Paryżu.

Specjalnością jednak jego pozostają widoki natury, którą podchwytywał w rozmaitych porach dnia, od wczesnego świtu do zachodu, w pogodzie słonecznej, słotach i burzy. Podpatrywał ją, siedząc przy otwartem oknie swego domku w Ville d'Avray pod Paryżem. Oto jak opisuje swoje wrażenia:

> Wstaje się o trzeciej rano, jeszcze przed wschodem słońca. Siada się u stóp drzewa, patrzy i czeka. Początkowo niewiele widać. Przyroda wygląda jak białawe płótno, na którym zaledwie zarysowują się jakieś kontury. Wszystko jakby zamglone, wszystko drży pod świeżem tchnieniem poranka. Aż oto — niebo się rozjaśnia... niby srebrzyste płatki unoszą się jeszcze nocne mgły ponad zielenią traw... Pierwszy promyk słońca... kwiaty zdają się budzić... na każdym drży kropla rosy... chwieją się listki w tchnieniu poranka... Nic nie widać, a jednak jest tu wszystko... skryte poza przeźroczystym welonem mgły, która wreszcie pod działaniem słońca unosi się w górę, odsłaniając srebrem przetkaną rzekę, łąki, drzewa, domy... można wreszcie odróżnić wszystko to, co się dotąd tylko przeczuwało...



Corot: Widok z Ville d'Avray (1872)

Czytając ten opis mamy wrażenie, że stoimy przed jednem z płócien Corota. Toż Napoleon III patrząc na jego obrazy miał się wyrazić, że są one wiernem odbiciem natury, że jednak trzebaby wstać bardzo wcześnie, by coś podobnego móc na własne oczy zobaczyć.

Podobnie też określił swe obrazy i sam Corot mówiąc, że widz powinien stanąć przed niemi i czekać tak długo, aż podniesie się powlekająca je zasłona. Nie rozumieli go dobrze współcześni; dziś jednak zasłona ta spadła, odkrywając przed oczyma naszemi cały czar i piękno tych dzieł.

„Czar“, to może najtrafniejsze określenie. Corot umiał bowiem, jak nikt inny, wyczarować ze swych pejzaży jakiś przedziwny nastrój.

Tem przedewszystkiem różnił się od innych malarzy tzw. szkoły barbizońskiej, zarówno romantyków, jak realistów. Tamci widzieli piękno natury i przyrody w krwawych zachodach słońca, w burzach, groźnych skałach i przepaściach, lub ograniczali się na możliwie najwierniejszem kopiowaniu rzeczy obserwowanych.

Podczas, gdy taki np. Teodor Rousseau był jako malarz niemal panteistą, oddającym z fotograficzną niemal ścisłością każdy szczegół, każdy listek drzewa, — to Corot był w kompozycjach swych niemal poetą. Nie kopjuje natury, nie fałszuje jej, — lecz poprostu przetwarza rzeczy widziane, które dla niego stają się częściami składowemi przecudnego poematu, wyczarowanego w jego mózgu.

Szuka w obrazach światła, szerokiej perspektywy. Operuje po mistrzowsku farbami, które potrafi wspaniale sharmonizować. „Tout flotte“, wszystko płynie, — to było jego ulubione wyrażenie, najlepiej charakteryzujące jego twórczość. I ten właśnie nastrój stanowi o trwałej wartości dzieł Corota, uchodzącego słusznie za najlepszego pejzażystę w malarstwie francuskiem.

* * *

Jedną ze sympatycznych a charakterystycznych cech Corota była jego niezwykła uczynność i dobroć.

Już za życia jego fałszowano jego obrazy, co dawało nieraz powód do przykrych nieporozumień. Ale Corot patrzał na te rzeczy pobłażliwie. Opowiada Roger - Milés, iż pewnego razu



Corot: W atelier (1865)

zjawił się u Corota pewien mecenas sztuki, przynosząc ze sobą obraz, rzekomo pendzla mistrza.

Corot obejrzał obraz i oświadczył odrazu, że jest podrobiony.

— Ha, w takim razie każę go aresztować, — mówi nabywca.

— Kogo? — przerywa Corot zaniepokojony.

— No, tego fałszerza.

— Ależ to może człowiek żonaty, ma dzieci. Całą rodzinę pan unieszczęśliwi!

— Ale fałszerz! Sprawiedliwość wymaga...

— Ach, sprawiedliwość!... Przecież to drobnostka. Zaraz zrobimy z niego prawdziwego, autentycznego Corota. Patrzaj pan!

Co powiedziawszy Corot ujął pendzel i na poczekaniu poprawił na obrazie jaskrawe błędy, poczem oddał go właścicielowi, jako swoje własne dzieło.

Coprawda, dysponując roczną rentą blisko 40 tysięcy franków i czerpiąc duże dochody ze sprzedaży swych obrazów, mógł Corot pomagać swym przyjaciołom. A czynił to często chętnie. Tak np. po śmierci przyjaciela swego Millet'a wyznaczył wdowie po nim roczną pensję. Słynny rysownik i karykaturzysta Daumier, jemu miał do zawdzięczenia, że na starość znalazł przytułek w domku, który Corot dla niego odkupił.

Toteż słusznie po śmierci mistrza wyraził się o nim Dupré temi słowy: Jako malarz trudny on jest do zastąpienia, — jako człowieka nikt go zastąpić nie zdoła!“

Umarł Corot 22 lutego 1875 r., po długiej i ciężkiej chorobie, którą znosił z podziwu godną pogodą ducha i cierpliwością. *(kr.)*

Kobieta w świecie i w domu, nr. 5. stoi pod znakiem praktyczności. Mamy więc wskazówki jak można przerobić materace na tapczany. jak zużytkować podartą bieliznę, mamy dużo dobrych przepisów kulinarnych. Nie zapomniano też o aktualnej sprawie wiosennej mody.

Doniosłe zagadnienie pożycia małżeńskiego omawia artykuł „Pod mikroskopem“ bardzo trafnie, a rzeczowo. Pozatem zwykłe rubryki: „Kłopoty Pani Domu“, dział kosmetyczno-lekarski, ogrodniczy, sylwetki kobiece, nowelka i dużo jak zawsze ładnych modeli.

„DZIECKO I MATKA“. Czwarty numer tego dwutygodnika zawiera jak zwykle treść bogatą i wartościową. A więc artykuły: „Vox populi w wychowaniu dziecka“, „O imionach“, oraz „W poważnym stanie“, zawierający szereg rad i wskazówek.

Dalej artykuły z dziedziny higjeny: „Djeta matki karmiącej“, oraz „Przeszkody w oddychaniu“ i „Higjena i kosmetyka dziecka“.

Całość uzupełniają ładne wzory i rysunki.

Wydawnictwo, utrzymane na wysokim poziomie, polecić można wszystkim młodym matkom. Cena zeszytu 80 gr., adres redakcji i administracji: Warszawa, Solec 87.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Jak zawsze na wiosnę, ulubionym strojem na ulicę będzie kostjum. A więc klasyczny „tailleur", oraz krótkie żakieciki, zarówno luźne jak wcięte i przepasane szerokim paskiem. Obok tego płaszcze 3/4 długości, luźne, zapinane pod szyją na jeden duży guzik.

— Spódniczki na ogół nieco krótsze a szersze, — dużo plisowań, fałdów i zmarszczek. Wycięcie niewielkie.

— Przy kostjumach konieczny szalik, związany pod szyją. Końce szalika wpuszczone w wycięcie sukni.

— Obok materjałów gładkich modne są przedewszystkiem kratki, nieraz bardzo fantazyjne. Zwłaszcza, jak już zaznaczyliśmy, pepita czarno - białe.

— Pelerynki rozmaitej długości ciągle jeszcze są modne. Znawcy nie przepowiadają im jednek dłuższego żywota: z chwilą, gdy staną się powszechnym strojem, moda — jak zawsze nielogiczna — z pewnością je zarzuci. Bo przecież trzeba i krawczyniom i magazynom mód dać żyć...

— Koronki znajdują duże zastosowanie w strojniejszych sukniach wieczorowych.

— Prawdziwe zatrzęsienie guzików, małych i wielkich. Pełno ich na wszystkich sukniach, nawet najskromniejszych, pełno przy mankietach, paskach, kołnierzach, kamizelkach, bluzkach. Całe szczęście tylko, że guziki te... nie zapinają się, służąc jedynie do ozdoby.

— Ostatnią nowością są bransoletki ze specjalnie preparowanego, lekkiego błyszczącego szkła. Nakłada się takich błyszczących kółek różnokolorowych całą furę... co przypomina potrochu czarne piękności z serca Afryki.

— Nowością są również woalki w stylu orjentalnym, zasłaniające dolną połowę twarzy, aż po koniuszek nosa. Przeważnie czarne lub granatowe.

— Kolor czarny nie wychodzi z łaki, jako zawsze najbardziej dystyngowany i praktyczny. Pozatem wszystkie kolory jasne, pastelowe, z przewagą niebieskiego w rozmaitych odcieniach.

— Do kostjumów nosi się w butonierce kwiaty zrobione z miękkiej skórki.



Wiosenny komplet z lekkiego sukienka wełnianego. Peleryna podszyta materjałem szkockim.

Modne torebki

Do kostjumu nosi się torebki duże, z prostą rączką, z miękiej, błyszczącej skórki.

Nowością są torebki z angielskiego płótna zwanego „Old Bleach", zupełnie gładkiego, a tkanego w specjalny sposób, tak że nawet pod mikroskopem nie można dojrzeć na niem owych drobniutkich włosków, tak charakterystycznych dla wyrobów płóciennych. Płótno to wyrabia się we wszystkich kolorach.

Fantastyczne rękawy

Jeżeli mamy wierzyć zapowiedziom wielkich magazynów paryskich, to jednym z najważniejszych elementów stroju kobiecego w nadchodzącym sezonie staną się rękawy.

Przy żakietach i płaszczach zmienią się one stosunkowo niewiele. Co najwyżej będą poszerzone w okolicy łokcia lub poniżej.

Natomiast przy sukniach rękawy wręcz olbrzymie, bufiaste, wydęte jak balony. To znów marszczone, plisowane w najmniej spodziewanych miejscach. Rękawy o kroju kimonowym lub raglanowym, rozpoczynające się nierzadko dopiero poniżej zaokrąglenia pleców. Jedne króciutkie, prawie dziecięce, inne sięgają do łokcia lub do przegubu rąk.

I z reguły z innego materjału, a nawet w innych kolorach niż suknia czy bluzka, — zgodnie z obecną modą jaskrawych nawet kontrastów.

Przyznać trzeba, że takie balonowe rękawy wyglądają okazale, — odpowiednie są jednak tylko dla kobiet wysokich i dobrze zbudowanych. I nieraz są bardzo pożądane, by zakryć zbyt grube ramiona.

Wędrówka po paryskich magazynach

Schiaparelli, prawdopodobnie pod wrażeniem pobytu w Paryżu małżonki maharadży z Kapurtati, stylizuje swe kreacje na wzór indyjski. Szaty powłóczyste, spowijające całą postać od stóp do głowy i to dosłownie, gdyż okrywają nawet częściowo i głowę.

Firma ta sili się wogóle na oryginalność i chętnie sięga do motywów z Dalekiego Wschodu.

Worth, to antyteza. Główna rzecz u niego, to dystyngowa elegancja, linje spokojne, harmonijne, akcentujące kobiecość i wdzięk młodości. Forsuje przedewszystkiem suknie płaszczowe, ozdobione szerokiemi skórkowemi paskami. Do toalet wieczorowych używa głównie tafty, jedwabiu „surah" i materjał przetykany celofanem, t. zw. „grenazza", bardzo efektowny.

Henry Creed kładzie duży nacisk na ogólną sylwetkę. W modelach jego ramiona są poszerzone, talja podsunięta nieco ku górze. Śmiałe kombinacje w materjałach i kolorach. Dużo kratek.

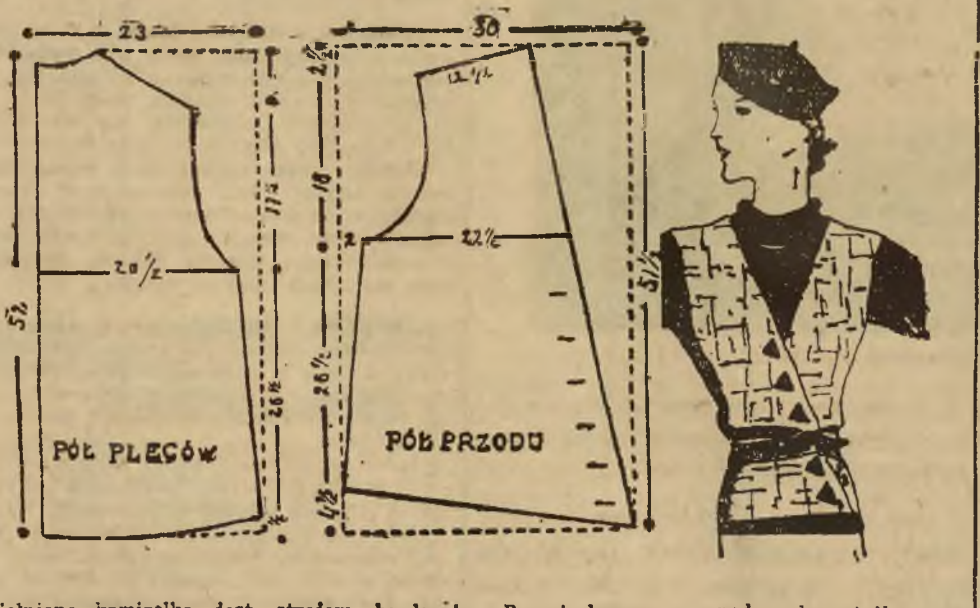
Chanel używa do sukien wizytowych głównie materjałów imprime w bardzo oryginalne desenie: ptaków, motyli, stylizowanych kwiatów i t. p. Na wieczór toalety z koronek, muślinów i tiulu.

FUTRA nowe damskie i męskie, oraz wszelkie przeróbki według najnowszych żurnali wykonuje tanio i solidnie Magazyn i Pracownia Futer Aleksandra Wróbla Lwów, Halicka 20 tel. 57-04, 1175

ILE KOBIET PRACUJE ZAWODOWO? Statystyczny Instytut w Zurychu podaje interesujące dane, dotyczące pracy zawodowej kobiet. Okazuje się, że na pierwszem miejscu znajduje się pod tym względem Polska.

Polska posiada 6 miljonów kobiet, pracujących zawodowo, co stanowi 45 proc. ludności żeńskiej kraju. Po Polsce następuje Francja, w której pracy zawodowej oddaje się 42 proc. kokom. Cena zeszytu 80 gr., adres redakcji i adproc.), Anglja (25 proc.), Hiszpanja (9 proc.).

Zarzutki - Trenchcoaty - Ubrania
wizytowe — spacerowe — sportowe. Kostjumy, płaszcze, suknie damskie. Bogaty wybór najmodniejszych kamgarnów i szewiotów bielskich poleca
MIECZYSŁAW ZALESKI Lwów, pl. Marjacki 10 Telefon 200-53.



Wełniana kamizelka jest strojem bardzo praktycznym i potrzebnym na okres przedwiośnia.

Podajemy dziś krój takiej kamizelki, na którą potrzeba 0.60 mtr. materjału, szerokości 1.40 m.

Brzegi obszywamy z pod spodu wstążką, szerokości 3 ctm. ,co zapobiegnie rozciąganiu się i deformowaniu materjału. Wstążka ta służyć będzie równocześnie do przyszycia guzików drewnianych lub skórzanych.

Poradnik dla gospodyń

Półksiężyce waniljowe

Proporcja 40 dkg. mąki pszennej, 40 dkg. mąki kartoflanej, 20 dkg. masła, 20 dkg. cukru pudru, trochę sproszkowanej wanilji, 2 łyżeczki cremor tartari, 2 łyżeczki sody oczyszczanej, trochę słodkiego mleka, albo słodkiej śmietanki.

Zagnieść ciasto z powyżej podanej proporcji, dając tyle mleka, aby dało się łatwo wałkować. Wycinać foremką w kształcie półksiężyca ciasteczka na pół palca grube, układać na blasze lekko mąką oprószonej. Piec na jasno-złoty kolor. Przechowywać w pudle z białej blachy, zaopatrzonem w szczelnie przylegający wierzch.

Galaretka pomarańczowa

1 duża pomarańcza, sok z cytryny — do smaku, 2—3 łyżki cukru, 1/2 l. wody, 8 listków żelatyny.

Wymoczyć żelatynę, odcedzić i zalać 1/2 l. gotującej się wody z cukrem. Gdy przestygnie, dodać utartej skórki z pomarańczy oraz soku z pomarańczy i cytryny. Ułożyć w salaterce lub pojedynczych porcjach plasterki pomarańczy, zalać płynem i ostudzić.

Sos do ryb

4 dkg. masła, 2 dkg. mąki, 1/4 l. wywaru z ryby, 2 żółtka, cytryna, cukier, sól, zielona pietruszka do smaku.

Z masła, mąki i rosołu zrobić białą zasmażkę, dodać żółtka, resztę dodatków i na parze ubijać, aż sos zgęstnieje. Polać nim budyń, resztę podać w sosjerce.

Karp na niebiesko

Wycisnąć do rondla sok z czterech cytryn, dodać 10 ziarn angielskiego pieprzu, bobkowy liść, pokrajaną w plasterki cebulę i wszystko zagotować. Włożyć karpia (1 kg.) do małej wanienki, zalać przyrządzoną w powyższy sposób marynatę, aby para nie uchodziła, wstawić do niezbyt gorącego pieca na dwadzieścia minut, poczem wsypać łyżkę soli i włożyć napowrót na dziesięć minut do piecyka. Sporządzonego na niebiesko karpia można przechowywać kilka dni i podawać na zimno z ostrym sosem. W ten sam sposób można gotować szczupaka, pstrąga i sandacza.

Kartofle ze śmietaną i grzybami

Dowolną ilość kartofli obrać, wypłókać, pokrajać w zręczną, niewielką kosteczkę, gotować 5 minut na osolonej wodzie, odcedzić i dobrze osączyć.

Skrajać drobniutko dużą cukrową cebulę, przesmażyć na jasno-złoty kolor z 10 dkg. masła, wlać masło z cebulą do kartofli, wymieszać.

Ugotowane i pokrajane w drobne paseczki grzybki suszone dodać do kartofli.

Wysmarować rynkę ogniotrwałą masłem, włożyć do niej kartofle, zalać szklanką śmietany. wymieszana z pół szklanką mocnego smaku grzybowego. Wstawić rynkę do gorącego pieca, przykrywając ją z wierzchu papierem posmarowanym masłem i przekłutym kilkakrotnie. W ten sposób para będzie uchodziła, a kartofle nie zrumienią się z wierzchu. Gdy tylko kartofle miękkie, wydawać je natychmiast wraz z naczyniem w którem się wypiekały.

Motopirin-Motor UŚMIERZA BÓLE ARTRETYCZNE I REUMATYCZNE

Zrazy zawijane z ryżem

Sparzyć świerć funta ryżu i zalawszy rosołem dodać łyżkę masła, dwie łyżki marmelady pomidorowej, pół łyżeczki papryki trochę soli i wypiec go w piecu pod przykryciem w kamiennej rynce. Z pieczeni zrazowej lub krzyżówki pokrajać cienkie podłużne zrazy, rozbić, osolić i opieprzyć. Nałożyć w środek farszu z ryżu, zwinąć, obwiązać bawełną i obsypawszy mąką smażyć na rozpalonem maśle. Ułożyć zrazy w rynce obok siebie i dusić na wolnym ogniu pod przykryciem, aż zmiękną, często skrapiając zimną wodą. Wkońcu obsypać mąką, zalać rosołem; kto chce, może jeszcze dodać kilka łyżek śmietany.

Wyborowa babka do kawy

Piętnaście całych jaj wlać w 8 dkg. drożdży, rozpuszczonych w szklance śmietanki, dodać 15 dkg. masła, 15 dkg. cukru, 1 dkg. tłuczonych migdałów, utartą skórkę z jednej cytryny, poczem wybijać masę tę przez pół godziny, dosypując po trochu tyle mąki, aby ciasto było zawiesiste. Ciasto to wlać w dobrze wysmarowaną formę, odstawić na godzinę w ciepłe miejsce i wstawić w gorący piec na godzinę.

Kamień z naczyń emaljowanych usunąć można przez zagotowanie w nich octu i następnie dobre wyszorowanie wodą z sodą i ługiem, zapomocą metalowej mytki. Jeżeli kamień jest bardzo twardy i w znacznej ilości, stosuje się zimny kwas solny,, potem jednak trzeba w naczyniu przez długą chwilę gotować mocny roztwór ługu.

ŁAMLIWE PAZNOKCIE należy codziennie po myciu rąk moczyć w soku z cytryny.

TŁUSTE PLAMY Z PAPIERU dadzą się doskonale wywabić magnezją, do której dodać trzeba kroplę benzyny. Mieszaninę tę trzeba delikatnie wetrzeć w zatłuszczojne miejsce, tak żeby się papier nie podarł.

CIĘTE KWIATY trzymać się będą w wazonie znacznie dłużej, jeżeli dodamy do wody tabletkę aspiryny. Aspirynę rozpuścić trzeba w wodzie, na chwilę przed wstawieniem do niej kwiatów.

WŚRÓD WYDAWNICTW

„Ja to zrobię", nr. 5. przynosi cały szereg wzorów na kapy, serwetki, obrusy i oryginalne hafty.

Ładny jest wzór okładki ze skóry rytej i nacinanej. Miłośniczki robót na drutach znajdą dokładne objaśnienie i krój kostjumu angielskiego; młode mamusie ładne i łatwe wzory pisanek dla dzieci, oraz odpowiednich zabawek.